

Gardynik_Jerzy_AW_I_0181

Gardynik_Jerzy_AW_I_0181_1A [00:00:00]

Jerzy Gardynik: Więc urodziłem się...

WK: A niech pan się przedstawi.

JG: Jako Jerzy Gardynik, oczywiście, tam było już we wstępie powiedziane, prawda? Urodziłem się 17 czerwca 1922 roku w centralnej Polsce, w miasteczku Radomsko. Ojciec mój był zawodowym wojskowym i w związku z tym właśnie tam się formował 26. Pułk Piechoty, w czasie wojny polsko-bolszewickiej. Ojciec służył w tym pułku i tam poznał moją matkę, pobrali się. W rezultacie w Radomsku urodziłem się ja i moja siostra. Ojciec mój był zawodowym wojskowym jeszcze z armii rosyjskiej. Nie znam dokładnie tych wszystkich perypetii, ale w każdym razie przeszedł przez te wszystkie przygody związane z rewolucją i zgłosił się do Warszawy, był w POW przez krótki czas, bo był powiedzmy, dosyć późno się zgłosił i następnie już, jak powstało wojsko, przydzielono go do Radomska, tam, jako zawodowego wojskowego i powiedzmy tam te, szkolił żołnierzy, zasadniczo. Teraz pułk, następnie został włączony w skład 5 Lwowskiej Dywizji Piechoty. Natomiast batalion ojca był detaszowany i przez jakiś czas stacjonował w Pszczynie, w osłonie powstania śląskiego. Na skutek tego, w późniejszym czasie, dopiero w 1922 albo w 1923 roku został przeniesiony, jako detaszowany batalion do Kamionki Strumiłowej, małego miasteczka na pograniczu Wołynia i województwa tarnopolskiego i tam chodziłem do szkoły powszechnej. Tam powiedzmy mieszkaliśmy do 1931 roku. Następnie ojciec został przeniesiony wraz z batalionem do Lwowa i znalazłem się we Lwowie. No, więc w Kamionce Strumiłowej już miałem pierwsze kontakty z harcerstwem, z tak zwanymi wilczkami, jeszcze zuchów nie było. To się nazywali „wilczkami”. Później we Lwowie w dalszym ciągu i to wychowanie harcerskie w jakimś sensie, w dużym sensie rzutowało na moje późniejsze powiedzmy, na moją późniejszą świadomość. We Lwowie chodziłem do szkoły Lenartowicza, imienia Lenartowicza przy ulicy Weteranów, w takiej dzielnicy właściwie wojskowej. Następnie do drugiego gimnazjum imienia Karola Szajnochy i liceum administracyjnego. W 1939 roku byłem po pierwszej klasie licealnej. W związku ze swoją działalnością harcerską, brałem udział, jako harcerz ochotnik, po przeszkoleniu wstępnym PW w obronie Lwowa w 1939 roku. No, to był moment bardzo krytyczny. Właściwie wówczas, kiedy podeszły pierwsze oddziały niemieckie pod Lwów,

Lwów był bezbronny. Były, był właściwie jeden dywizjon artylerii tylko. Były jakieś jednostki formujących się następnych rzutów garnizonu lwowskiego, niezbyt rozbudowane. Jakiś batalion obrony narodowej.

[1A, 00:05:00]

Tak, że w tym momencie te oddziały, które zostały utworzone, ochotnicze rozmaite, wartownicze oddziały, zostały po prostu potraktowane, jako pewna rezerwa już czysto bojowa i nas formowano, jako ochotniczą brygadę obrony Lwowa. Dowódcą tej brygady był podpułkownik dyplomowany Grefner. Nie pamiętam jego imienia. Zresztą człowiek silnie związany z tradycją lwowską, sam Lwowianin, z Kleparowa, tam jego rodzina mieszkała. Dowódca odcinka kleparowskiego w obronie Lwowa w 1918 roku, legionista. W 1939 roku znów jak mówiłem, los go złączył ze Lwowem przez ten fakt, że objął to dowództwo tej brygady ochotniczej. Później jeszcze, w okresie działalności Okulickiego we Lwowie, bo Okulicki został przerzucony do Lwowa podczas okupacji sowieckiej, dla uporządkowania spraw Lwowa, on został przerzucony, jako szef sztabu jego, do Lwowa i tutaj został aresztowany.

WK: Tam się jakieś nieładne rzeczy działy we Lwowie, z tymi kolejnymi wypadkami, z jakimiś konkurencyjnymi ośrodkami ZWZ.

JG: Ja myślę, że przede wszystkim tak, tak to było, ale winę za to ponoszą przede wszystkim władze centralne, które w rozmaity sposób kreowały poszczególne siatki. ZWZ Macielińskiego było kreowane bezpośrednio z Paryża przez Budapeszt. I bezpośrednio miało swój kontakt, Macieliński z Paryżem. Natomiast Dobrowolski i później Sokołowski mieli kontakty z Warszawą, z Roweckim. No, oczywiście rozmaite rzeczy tam grały rolę. Ja myślę, że w tych tematach rozmaici autorzy poruszają się w sposób wybitnie nieudolny. Ja bym powiedział, że łączy się pewne momenty, jakieś sensacje w tych wszystkich rzeczach. Faktem jest, że konspiracja lwowska w latach okupacji sowieckiej 1939-1941, działała w warunkach niezwykle trudnych. Myśmy po prostu nie byli przygotowani na to, że spotkamy się z takim groźnym przeciwnikiem. Mieliśmy może nawet pewną pogardę do tych ludzi. Lekceważyliśmy ich. I początki konspiracji jak zwykle, to jest nauka konspiracji. A przy tym systemie policyjnym, jaki został stworzony przez cara jeszcze, a później rozbudowany w czerwonej Rosji, na lekceważenie przeciwnika nie można sobie pozwolić. Ten człowiek, taki powiedzmy

ciągający nos, prawda? Palcami czy chodzący w zdeptanych butach, to był znacznie groźniejszy przeciwnik niż Gestapo. Proszę pamiętać, że w tym czasie Rosjanie zrobili znacznie większe spustoszenie na tych terenach niż Niemcy w tym czasie na pozostałym terenie Polski. Jeżeli oni w przeciągu 18 miesięcy potrafili tak czy inaczej represjonować z tych terenów ogromne masy ludzi, blisko powiedzmy 2 miliony ludzi.

[1A, 00:10:00]

Niemcy takich sukcesów nie mieli, tym bardziej, że jeszcze wtedy nie istniał Oświęcim i inne obozy. Właściwie Rosjanie byli w stanie w ciągu miesiąca wywieźć, wymieść po prostu miasto wielkości Tarnopola, Stanisławowa czy Białegostoku. Taka skala była ich działania, a Niemcy jeszcze takiej maszyny nie mieli. I właściwie między Rosjanami i Niemcami istniała ścisła współpraca w zwalczaniu podziemia polskiego.

WK: Spotykali się podobno w Krynicy, dla uzgodnień, Gestapo i NKWD.

JG: O ile ja wiem, były takie trzy spotkania. Jedno spotkanie było we Lwowie, jedno w Krakowie, a jedno w Zakopanem właśnie.

Nie w Krynicy?

JG: Nie, nie słyszałem o Krynicy. Ja słyszałem o Zakopanem. Być może, że się mylę.

WK: Może ja się mylę.

JG: To by trzeba poszukać w źródłach jeszcze, bo powiedzmy te rzeczy, to ja raczej znam z późniejszych denuncjacji.

WK: No, wówczas był pan młodym w końcu harcerzem.

JG: Proszę pana, trzeba powiedzieć, że tak jak mówiłem, to była nauka konspiracji. To była tak śmieszna konspiracja, jak teraz ostatnio przeżywaliśmy w Solidarności, wie pan. To była konspiracja wykonywana w sposób bardzo naiwny. Ja na przykład będący na samym dole w tym czasie, dobrze się orientowałem, że do Lwowa ma przyjść Tokarzewski. To, dlaczego nie

miało wiedzieć o tym, prawda? Jeżeli to był taki szeroki zasięg i duża penetracja terenu, bardzo duża, dlaczego nie miały wiedzieć o tym władze policyjne? To była śmieszna konspiracja. Później dopiero, później na tych stratach się uczono. Ja bym powiedział, że w ogóle społeczeństwo nie było przygotowane do tej sytuacji, która zaistniała. Informacja o działaniach policyjnych, beriowskich, stalinowskich czy tam jeżowskich, jakichkolwiek, do Polski dochodziła, prawda? Myśmy byli stosunkowo dobrze informowani o tym, przynajmniej ja, jako młody człowiek, wówczas 17-letni, 1939 rok mówię. Byłem zorientowany w tym, co się działo, ten głód ukraiński, te powiedzmy akcje rozstrzeliwań, rozmaitych egzekucji, (*niezrozumiale*), to wszystko mi było wiadome, jako kilkunastoletniemu chłopcowi, ale jak to na ludzi wpływało? Na niektórych wpływało to po prostu w sposób, no paraliżujący. To niosło pewne elementy strachu i później nieumiejętność postępowania wobec władz administracyjnych, władz policyjnych. Mogę panu opowiedzieć taki przykład. Władze rosyjskie zarządziły rejestrację oficerów, tych, którzy nie dostali się do niewoli, prawda? Jakiś oficer w rezerwie czy coś takiego. Stała duża kolejka oficerów, przed komendą miasta na ulicy Wałowej. Wchodzili interesanci do środka, wywożono ich autami. Reszta stała w dalszym ciągu. Dlaczego? No, w jakimś sensie przyzwyczajeni do tego powiedzmy, do jakiejś atmosfery...

WK: Poszanowania prawa.

JG: Poszanowania prawa, bo ostatecznie taka atmosfera w Austrii istniała, w Polsce przedwojennej istniała. Jakieś analogie, przenoszenie tych analogii na, w obecną sytuację, to było czystą pomyłką. Z drugiej strony, ci ludzie stali, bo na ogół wierzyli, że jeżeli on się poświęci, to on zachowa rodzinę przynajmniej. To było złudzenie. To był najlepszy donos na rodzinę. Później po nich brano rodziny, prawda? Niektórzy, najrozsądniej robili ci, którzy nie zgłaszali się w ogóle albo pod wpływem jakiejś perswazji, bo były tam i perswazje, wychodzili z tej kolejki i nie rejestrowali się.

[1A, 00:15:00]

I tacy się mogli tylko zachować. Ci, którzy się zachowali, później pracowali w konspiracji, co z pewnością nie byli ci, którzy się rejestrowali na ulicy Wałowej.

WK: Ale ci z kolejki to potem między innymi w Katyniu się chyba znaleźli?

JG: Nie wiem jak to było. W Katyniu to byli przede wszystkim oficerowie wzięci do niewoli we wrześniu 1939 roku. Ci, którzy wpadali później, ich losy były na ogół lepsze w tym sensie, że znacznie większa część przeżyła, bo tam powiedzmy z tych ludzi wyselekcjonowano coś około 400, którzy przeżyli, ale tam jeżeli się dostawali do więzienia na przykład, tak jak się dostał Boruta-Spiechowicz czy inni, to przeżywali. W więzieniu łatwiej było przeżyć niż w takim obozie jenieckim, bo tam było to zgrupowane i powiedzmy po pewnych badaniach, prawda? Los ich został przesądzony. Więc jeszcze wracając do obrony Lwowa w 1939 roku, w pierwszym momencie, jak panu mówiłem, formowano te oddziały ochotnicze. Później to się okazało nie takie konieczne. To znaczy „później”, dokładnie w 24 godziny później. Pod Lwowem wylądowała się 35 Rezerwowa Dywizja Piechoty, grodzieńska grupa piechoty fortecznej. I nagle powiedzmy z tych małych sił, w ciągu 24 godzin to się rozrosło do takiej ilości, która mogła się skutecznie przeciwstawiać, ale tak czy inaczej, powiedzmy decydowały pierwsze godziny obrony. Niemcy wówczas w pierwszym dniu wdarli się w rejon Kopytkowego, Placu Kopytkowego. To znaczy już niedaleko od kościoła świętej Elżbiety. Z drugiej strony dochodzili do ulicy Szymonowiczów, wzdłuż ulicy 29. Listopada. To znaczy były pewne kłopoty z wyparciem ich, wyparto ich, ale później oni byli tylko na obrzeżach miasta i powiedzmy w rejonach osiedli takich podmiejskich. Te ich, powiedzmy też przejawskrawienia, że oni, twierdzenie, że oni zdobyli Lwów, bo autorzy niemieccy niektórzy tak podają, to są fantazją. Oni byli na, powiedzmy na głębokość wdzierali się do 2 kilometrów i później zostali stamtąd wyparci. Więc tak czy inaczej, młodzież lwowska miała pewien udział w obronie Lwowa i dosyć duży udział. To było jakby powiedzieć, kontynuowaniem tradycji 1918 roku.

WK: Orląt Lwowskich.

JG: Orląt Lwowskich. W tej brygadzie ochotniczej obrony Lwowa, która nigdy właśnie stanu brygady nie osiągnęła, ona osiągnęła stany dwóch batalionów, ale nazwa taka została, oprócz harcerzy, pierwszym oddziałem, który był powiedzmy włączony do brygady to była kompania harcerska. Pierwsza kompania harcerska. Druga kompania była sokola. Była kompania strzelecka, kompanie złożone z młodzieży licealnej i gimnazjalnej, po przeszkoleniu PW. Duży udział mieli również kadeci w tych ochotniczych oddziałach, zwłaszcza obejmowali służby specjalne. Na przykład w naszej brygadzie był pluton łączności kadetów, bo myśmy się po prostu na tym nie znali. Ktoś musiał to robić, kto się na tym znał, a oni byli przeszkoleni w tym, ale niezależnie od tego działali też na innych odcinkach.

[1A, 00:20:00]

Ale zasadniczy trzon obrony opierał się na 35 Dywizji Rezerwowej, która była właściwie nie wiem czy drugim, czy trzecim rzutem, raczej drugim rzutem Pierwszej Dywizji Legionowej. I ta dywizja oraz grodzieńska grupa piechoty, zostały przerzucone do Lwowa, tą ręką biegnącą wzdłuż powiedzmy Bugu, w tym kierunku północ-południe, pod Lwów i tutaj była wylądowywana i ona powiedzmy załatwiała te sprawy, przeważnie ona. Również powiedzmy, w tym krytycznym momencie, do walki zostały włączone oddziały policji. W pierwszym dniu, w drugim, w trzecim, to te oddziały dosyć dużo powiedzmy pomogły. Tak czy inaczej, zaskoczeniem była dla nas ta decyzja o oddaniu Lwowa wojskom czerwonym. To była dla żołnierzy duża tragedia.

WK: To pan Karol Pras w książce, wymienia generała Langnera i jego, według niego, bardzo niekorzystną rolę, że to było jakieś tam zaprzęgnięcie się w zamian za uwolnienie siebie i rodziny.

JG: Nie wiem, ja bym tego nigdy tak nie sformułował i nie ma żadnych podstaw do tego, żeby tak twierdzić.

Ale de facto oni się znaleźli na wolności i to na zachodzie.

JG: Tak, ale mnie się wydaje, że oni się znaleźli na wolności i na zachodzie wskutek tego, że rząd sowiecki miał pewne nadzieje wykorzystania Langnera do łączności, do jakiejś, przekazania jakiejś propozycji rządowi emigracyjnemu. I mnie się zdaje, że on tą rolę spełnił. Czy powiedzmy, generał Langner nie miał swobody ruchów. To jemu się tak wydawało, że on ma swobodę ruchu. On był pod ścisłym nadzorem. Najwyżej, wiem z jego relacji, że kiedyś przy omawianiu jakichś spraw kontaktów on zażądał od nich, żeby oni dali jemu wolność, swobodę działania, żeby nie śledzili jego, bo jakieś komórki wywiadu czy coś takiego zostały we Lwowie. I on w jakiś sposób tam się z nimi kontaktował. On to mówi w swoich wspomnieniach, więc to była sytuacja specjalna, ale ja bym nie powiedział, że to było zaprzęgnięcie. Stworzyli jemu Rosjanie te warunki z myślą o wykorzystaniu jego do swoich celów.

WK: Oficerowie z garnizonu lwowskiego właśnie znaleźli się głównie w Katyniu.

JG: Tak, tak. Przy czym, tutaj była taka sprawa, tu była sprawa już kręactwa dowództwa radzieckiego. Według aktu przekazania Lwowa wojskom radzieckim, oficerowie mieli prawo wyjazdu za granicę na prawach konsularnych. Tak opiewał ten, ta umowa i ich zgromadzono na Placu Bernardyńskim, czy w szkole, w gimnazjum, w pierwszym gimnazjum na ulicy Kubali, perfidnie im tłumaczono, że tylko zarejestrują ich i puszczą. Wyprowadzono ich do (nz), prawda? Żadnej rejestracji nie było i dalsze etapy, zresztą pan Karol to dosyć plastycznie przedstawia. Ja myślę, że pewne przejawskrawienia, tam jednak istnieją, w sensie oceny dowództwa. Oczywiście, sytuacja była bardzo tragiczna, wymagała powiedzmy no przełamania się też wewnętrznego.

[1A, 00:25:00]

Ja nie oskarżam Langnera o jakieś zaprzękanie się. On po prostu nie widział innego wyjścia. Wojskowi, fachowcy, zawsze sytuację oceniają na trzeźwo. Ja na przykład w czasie obrony Lwowa zostałem wysłany do jednego z pułków piechoty, dowództwo było na Kleparowskiej ulicy, nie wiedziałem, co to jest, jako przewodnik po terenie Kleparowa w kierunku Brzuchowic. Znałem ten teren i zgłosiłem się do dowództwa pułku. Nie wiedziałem, kto tam siedzi. Siedział znajomy pułkownik, dowódca mojego ojca. Więc kolega tam poszedł zameldować się, bo on taki był zawsze chętny do tych rzeczy, a ja zostałem na, w przedpokoju, a pułkownik mnie zauważył i poprosił, kazał mi usiąść, tamten stał, ja siedziałem. No i nie pozwolił mi się zameldować, pytał o ojca, czy ja wiem gdzie ojciec jest. Ja nie wiedziałem, gdzie ojciec jest. A ojciec nawiasem mówiąc, w składzie 48. Pułku z 11. Dywizji Piechoty Karpackiej zginął 17 czerwca, gdzieś w godzinach wczesnych, popołudniowych pod Janowem Lwowskim, w składzie armii generała Sosnkowskiego.

WK: Jak to 17 czerwca?

JG: Przepraszam, 17 września.

WK: Aha.

JG: Przepraszam, bo to pewne zniekształcenie. Ja się urodziłem 17 czerwca, jakieś egocentryczne zniekształcenie. Więc pytał o ojca, nie wiedziałem. I on mi pierwszy raz wyjaśnił sprawę. Jeszcze na długo przed poddaniem Lwowa, że sprawa jest absolutnie przegrana. Ja byłem z tym powiedzmy, zbulwersowany. Mówił, że, no, ja mówię: *A jak to będzie wyglądać? Co będzie?* A on mówi: *Trzeba się przedzierać na Zachód, będzie z pewnością tworzona armia polska gdzieś we Francji i to jest rozwiązanie. Przegrana jest bitwa, ale nie wojna.* Tak, że wojskowi to oceniali w sposób realny i Langner z pewnością nie widział żadnych realnych możliwości prowadzenia walki z jakimś dodatnim skutkiem, bo jeżeli w 1918 roku, w znacznie gorszych warunkach wojskowych miała miejsce obrona Lwowa, to jednak ogólna sytuacja polityczna była sprzyjająca temu działaniu i powiedzmy, okazało się to słuszne, że podjęto tą walkę, bo ona dała dodatni rezultat. Tutaj takiego rezultatu dodatniego nie mogło być. On to rozumiał. Można było dopuścić, do czego? Do zniszczenia Lwowa, kompletnego i dzisiaj powiedzmy, nie byłoby Lwowa takiego, jaki jest, jaki się zachował, jako pamiątka naszej kultury narodowej, bo Rosjanie by nie odbudowali tych zabytków, Niemcy też by nie odbudowali tych zabytków. To by było powiedzmy zbrodnią, ta dalsza walka byłaby zbrodnią wobec kultury polskiej, zbrodnią niedającą żadnych szans wojskowych. Wiadomo, że tą walkę trzeba było przegrać po zniszczeniu miasta. I uważam, że decyzja Langnera była słuszna. Naczelnny wódz rozkazał ewakuację wojsk w kierunku granicy węgierskiej. To była rzecz też niewykonalna, proszę patrzeć, co się działo z tymi wszystkimi oddziałami, które przedzierały się w kierunku granicy węgierskiej, chociażby powiedzmy grupa Andersa i inni. Oni wszyscy wykruszyli się...

[00:00:00] Gardynik_Jerzy_AW_I_0181_1B

JG: Oni wszyscy wykruszyli się w walce i dostali się do niewoli.

WK: No Maczek się przedarł.

JG: Maczek się nie przedzierał. Maczek po prostu pojechał. Maczek znalazł się na granicy przed kontaktem jeszcze z wojskami rosyjskimi. Dostał rozkaz, Langner dostał rozkaz naczelnego wodza, że Maczek ze swoją brygadą ma udać się w kierunku południowym. Tam była jeszcze koncepcja tego, tak zwanego przedmościa rumuńskiego. Ewentualnie, powiedzmy tam użyć tej siły do formowania tego przedmościa, ale później okazało się, że właściwie tylko jedyna rzecz, że można było przejść przez granicę i Maczek przeszedł ze swoją brygadą przez

granicę. Gdyby w tym czasie załoga Lwowa przeszła też w tym kierunku, to z pewnością by się powiedzmy te siły zachowały, a tak, no los oficerów był bardzo, bardzo smutny. W każdym razie kręctwo władz wojskowych sowieckich polegało na tym, że zaprzeczyli temu, jakoby oficerowie podpisujący akt przekazania Lwowa, oficerowie z ich strony, mieli prawo ku temu. Powiedzieli, że oni nie mieli uprawnień do podpisywania aktu i dlatego nie uznali tej racji powiedzmy Langera, bo Langner jeździł. Dawali mu tą możliwość, on był w Moskwie, rozmawiał z Szaposznikowem. Szaposznikow chciał właściwie rozeznania sytuacji, powiedzmy szans ich w walce przyszłej z Niemcami i z niego ściągał te dane, dla swoich egoistycznych celów, a to, a sprawę oficerów wziętych do niewoli skwitował tym, że przecież tamci nie mieli prawa podpisywania aktu takiego. I oni tego nie uznają. I na tym się skończyło. Langner wszystko robił, żeby znaleźć ślady tych oficerów i żeby spowodować ich zwolnienie i przekazanie powiedzmy na prawach konsularnych, żeby mogli wyjechać. Był oficerem typu europejskiego. Gdyby podpisał takie...

WK: Naiwny etos rycerski taki jakiś.

JG: Gdyby podpisał taką umowę z Niemcami, Niemcy by z pewnością to wykonali. Z Francuzami, z Anglikami, z Turkami, z kim pan chce, ale nie z Rosjanami. Rosjanie uważali i oni nie znali pojęcia...

WK: „Słowo honoru”.

JG: „Honor”. Honor to był dla nich przeżytek.

WK: „Pojęcie klasowe”, mówili.

JG: Tak, to była najwyżej mistyfikacja pomagająca w osiągnięciu właściwego celu. I więcej nic ich nie obchodziło. Nawet ja znam tą mentalność rosyjską, rozmawiałem z oficerami rosyjskimi, już tam powiedzmy w Rosji na te tematy. Mówią: *A co ty chcesz?* No liczy się efekt tylko, a że on był naiwny. Tak, no i po tym, po tych ciężkich dniach obrony Lwowa, przyszło pewne, no otępienie takie społeczne, brak powiedzmy jakiejś nawet inicjatywy. Chociaż w dniu kapitulacji Lwowa, Januszajtis podjął się funkcji formowania konspiracji wojskowej. W krótkim czasie wpadł. Wpadł bodajże po trzech tygodniach. Z relacji Langnera wynika, że

Rosjanie wiedzieli, kto jest Januszajtis, jaka jego jest funkcja. Oni pytali o Januszajtisa, czy on ma z nim kontakt. Oczywiście twierdził, że nie ma.

[1B, 00:05:00]

Oni to chyba nie przyjmowali w sposób dla siebie wiarygodny. Oni bardzo dobrze wiedzieli, że Langner kontaktował się z Januszajtisem.

WK: Panie Jurku, tutaj pewna sprzeczność jest w pana ocenie etosu sowieckiego. Z jednej strony mamy wykorzystywanie tak zwanego słowa honoru do celów doraźnych. Oczywiście, z oczywistym niedotrzymywaniem. A dotrzymują wobec Langera oczywiście, już po wykorzystaniu, wyciśnięciu z niego jak z cytryny wiadomości potrzebnych dla nich.

JG: Ale tylko to jest kwestia, tylko taktyki, czy to jest wygodne dla nich, czy nie. To jest powiedzmy, oni pozwolili na przykład Langnerowi kontaktować się z Januszajtisem, ale przecież śledzili jego. Ja sobie nie wyobrażam, żeby...

WK: Ale on był wygodny, jako ten wskaźnik dalszych kontaktów?

JG: On nie wiedział o tym, on nie mógł o tym wiedzieć. Nikt nie znał tego systemu powiedzmy sowieckiego, sowieckiej inwigilacji. Langner sobie chyba to wyobrażał, jako powiedzmy jakiegoś pana, który pod murem sobie przechodzi, od latarni do latarni i powiedzmy szpicluje jak to widać powiedzmy na filmach. Sowiecki system inwigilacji, zresztą przejęty przez wszystkich innych, którzy powiedzmy na tym systemie się szkolili, polegał na masowości inwigilacji. To znaczy patrole samochodowe z wyrzucaniem desantu, przed, za, z boku, jak chce, tak liczne, że one potrafią kontrolować nie tylko tego delikwenta, który jest, od którego ta inwigilacja się zaczyna, ale każdego innego, który się zetknie z nim powiedzmy w jakiegokolwiek sytuacji, od razu jest pod tą inwigilacją. I oni potrafili zmieniać te patrole na ulicy w zależności od sytuacji, nawet na bardzo krótkich odcinkach. Powiedzmy, w pewnym momencie taki Langner idzie i widzi, idzie żołnierz. No, żołnierz, ale on idzie jakiś, później znika, później idzie jakaś kobiecinka, później idzie kolejarz, prawda? A to są powiedzmy...

WK: Sztafeta.

JG: Sztafeta, jeden drugiemu przekazuje i on widzi ciągle innych ludzi, więc nie jest śledzony. Wchodzi i wskazuje miejsce Januszajtisa. On tego nie robił oczywiście w sposób jakiś zamierzony. To po prostu on był nieświadomy tego, z jakim systemem policyjnym on się zetknął. Zresztą tak samo powiedzmy, to samo dotyczy późniejszych konspiracji. Stąd te ich wielkie sukcesy w paraliżowaniu konspiracji lwowskiej w latach 1939-1941.

WK: Podobno oni łatwo naszych demaskowali po sposobie patrzenia i noszenia głowy.

JG: Oni z pewnością mieli specjalistów rozmaitych, psychologów również. I powiedzmy wszystko, co można było wykorzystać przeciwko ludziom, którzy byli przedmiotem ich zainteresowania, wszystko oni to wykorzystywali. Dlatego lekceważenie ich jest zawsze najgorszą metodą, najgorszą metodą. Tak. Ja po obronie Lwowa w 1939 roku, gdzieś to był koniec października albo początek listopada, otrzymałem pierwszy kontakt konspiracyjny. To był kontakt konspiracyjny harcerski. Na tej bazie, prawda? Tych oddziałów harcerskich, powiedzmy tej działalności harcerskiej przed wojną, powstawała konspiracja harcerska. I znalazłem się w odłamie takim, który nosił nazwę „POWW”. Proszę nie mylić z POW, bo POW to była organizacja, pierwsza organizacja Januszajtisa.

[1B, 00:10:00]

Niektórzy z Londynu na przykład wątpią czy Januszajtis mógł, że Januszajtis mógł zawiązać taką organizację, przecież on był przeciwnikiem POW właściwie, w swojej działalności na zaraniu niepodległości, ale to była kwestia Boruty-Spiechowicza, który był powiedzmy z POW związany, w 1918 roku przecież on był w POW we Lwowie, właśnie we Lwowie. I we Lwowie on odegrał bardzo dużą rolę w pierwszym momencie zwłaszcza, w formowaniu oporu polskiego w pierwszych dniach. Właśnie on, nie Mączyński, nie, kto inny, on, Abraham, inni tacy. I on to przeforsował i to była Polska Organizacja Wojskowa. Ja rozmawiałem na ten temat z generałem Borutą-Spiechowiczem i pytałem go czy on potwierdza tak: Tak, jednoznacznie. To było POW, Polska Organizacja Wojskowa. Chociaż niektórzy autorzy, na przykład Węgierski tam wstawia to, że to było POWW. To była, POWW było organizacją harcerską. Polska Organizacja Walki z Wrogiem. Taką nazwę przyjęła ta komórka harcerska, która uformowała się w Czortkowie, którą uformował tam harcmistrz Opacki. I on narzucił, powiedzmy on, gdy się zwrócono do niego z prośbą o kontakt, on miał już siatkę swoją zorganizowaną, miał nazwę ustaloną i tą nazwę przyjęto. Tam powiedzmy były takie niuanse,

Polska Organizacja Walki o Wolność, Polska Organizacja Walki z Wrogiem, to rozmaicie było. Opacki miał ten wariant Polska Organizacja Walki z Wrogiem, to Polska Organizacja Walki o Wolność, ale w każdym razie to była harcerska organizacja. Zresztą były inne odłamy harcerskie tam. Na czym to polegało? No właśnie...

WK: A nazwa Szare Szeregi, kiedy to?

JG: To później, to już jest późniejsza rzecz. Pierwsza organizacja ta po wrześniu miała nazwę POWW, nie żadne inne tam, to już późniejsza jeszcze nazwa. Zresztą, były tendencje do połączenia się z siatką ZWZ i wtedy właśnie dało znać o sobie właśnie inwigilacja. Na czym polega rzecz? Żeby przeciwdziałać takim sprawom, które są niebezpieczne, dla powiedzmy reżimu, który chce zapanować na danym terenie, a więc połączenie, unifikacja wysiłków była niebezpieczna i wtedy uderzyli. Wtedy uderzyli i nasza organizacja została, poniosła bardzo ciężkie straty. Bardzo ciężkie straty. Większość ludzi z dowództwa znalazło się w więzieniu. Myśmy siedzieli wówczas jak myszy pod miotłą, to było gdzieś tak maj 1940 roku, ale do nas ta czystka nie doszła. Oni nie mieli inwigilowanych dołów tak, jak inwigilowali góry. Tam zmiotli wszystko. Wówczas też został aresztowany, no niezapomniany dla mnie człowiek, porucznik Zbigniew Czekański, mój dowódca kompanii właśnie harcerskiej w 1939 roku. On też był jednym z organizatorów tej organizacji. Zresztą w 1941 roku, przepraszam, tak, w 1941 roku w czerwcu podczas, przed wkroczeniem Niemców do Lwowa, większość z nich zginęła. Zginęła w Brygidkach, w więzieniu lwowskim Brygidki, po prostu zostali albo rozstrzelani albo po prostu do cel były wrzucane granaty, albo prowokowano wyjścia, prawda? Na bramę, a tam stały karabiny maszynowe i ostrzeliwały w bramie. Niektórym się udało, niektórym się udało. Takim, któremu się udało, to był harcistrz Szczęścikiewicz, komendant lwowskiej chorągwi harcerzy przed wojną w 1939 roku, ale to były nieliczne tylko wyjątki.

[1B, 00:15:00]

Zasadniczo wszyscy tam polegli. To była zbrodnia większa niż katyńska, w sumie, jeżeli chodzi o ilość ofiar. Trudno powiedzieć ile ich było, ale w każdym razie więcej niż 4000, znacznie więcej. Lwów cały wówczas po prostu śmierdział trupami. To wszystkie więzienia były zapelnione. Na Łackiego, na Kazimierzowskiej w Brygidkach, na Zamarstynowskiej w więzieniu wojskowym, nawet były takie cele, że powiedzmy załadowane ciałami do sufitu i zamurowane albo wpędzono ludzi, zamknięto drzwi i zamurowano drzwi.

WK: Czyli oni mieli czas na stawianie tego muru? Czyli...

JG: Tak, oni mieli czas, to oni robili to co najmniej na jakieś parę dni przed wycofaniem się ostatecznym. W pewnym momencie była taka sytuacja, że oni uciekli. I wówczas rozbito cele niektóre i część więźniów wydostała się na wolność, ale później wrócili jeszcze. Ktoś ich wrócił, nie wiem jak to się rozgrywało i wtedy dokonali największych spustoszeń. Zresztą, w czasie okupacji niemieckiej można było w kioskach kupić zdjęcia, zestawy takich zdjęć i z pewnością wśród rodzin lwowskich jest dużo zachowanych tych zdjęć z tych okropności, fotografie powiedzmy tych, wykopywania z tych dołów, bo doły były po prostu na dziedzińcach więziennych. Więc powiedzmy działalność konspiracji harcerskiej, no bo to było właściwie przygotowania organizacyjne, ja byłem drużynowym na Kleparowie. Drużyna składała się z trzech zastępów, w ogóle był system trójkowy. I w zastępie było trzech tylko harcerzy. To było już...

WK: Czy on zdawał egzamin, ten system trójkowy?

JG: Ja myślę, że on był zupełnie niepotrzebny, bo myśmy się wszyscy znali jak łyse konie. To system w ogóle trójkowy czy piątkowy, bo też taki był, to było bez znaczenia. Myśmy się znali, prawda? Po imieniu i nazwisku i wiedzieliśmy, każdy gdzie kto mieszka i tak dalej, tak, że to była taka powiedzmy konspiracja troszeczkę...

WK: Harcerska.

JG: Harcerska, tak. No, ale takie były warunki. No zresztą proszę pana, takie warunki były nieraz w innej, w solidnie działającej konspiracji w czasie nawet niemieckiej, jak ja byłem w ZWZ AK, później to przecież w tej dzielnicy wszyscy się nawzajem znali i komendanta dzielnicy czy komendanta rejonu, to wszyscy znali i kłaniali się mu, prawda? Ale jakoś to funkcjonowało, na zasadzie powiedzmy jakiejś solidności i powiedzmy solidarności takiej wewnętrznej.

WK: Ale jeden kapuś mógłby rzeź zrobić?

JG: No, nie było takiego wypadku, proszę pana. Proszę sobie wyobrazić, 125 ludzi w rejonie, w którym ja byłem. Okupacja sowiecka pierwsza, okupacja niemiecka, była tylko jedna wsypa i to ograniczona w czasie akcji ulicznej, kiedy powiedzmy wykonywano wyrok na kapusiu i powiedzmy ten wykonujący został postrzelony, wzięty przez Niemców. Drugi został zabity, ale nic nie wydał i nie było powiedzmy jakiegoś zagrożenia. Zagrożenie powstało w momencie, kiedy myśmy się ujawnili. I wtedy zgarnęli bardzo dużo, tak, ale jeszcze wracając do tej konspiracji harcerskiej, więc organizacyjne sprawy. No, sprawy powiedzmy jakichś ćwiczeń czy powiedzmy jakichś wywiadów, na przykład trzeba było rozszyfrować system łączności rosyjski we Lwowie.

[1B, 00:20:00]

Zresztą oni to wspaniale ułatwiali, bo oni mieli linie telefoniczne, prowadzili ulicami, przybijali do muru po prostu taką solidną dechę z tymi izolatorami, prawda? I na to, przez te izolatory przechodziły te druty. Tak, że pan mógł sobie iść, liczyć raz, dwa, trzy, cztery, dziesięć a tu w następnym jest już 11, to gdzie ten jeden znikał? Od razu było widać, prawda? Że tutaj jest jeden. Gdzie, jakie to są obiekty. To było takie, takie powiedzmy wskazania oczywiste. No, były formy takiej powiedzmy małej dywersji. To znaczy pisanie haseł, taka dziecinada właściwie harcerska. Był już kolportaż. Pamiętam, gdzieś od marca 1940 roku. Pierwszym lwowskim takim pismem, które do mnie dotarło było „Wytrwamy”. Było „Wytrwamy”. To pismo właściwie najdłużej wychodziło. Ono wychodziło przez 6 lat, bez specjalnych powiedzmy groźnych... Były wsypy, ale powiedzmy to pismo cały czas funkcjonowało. Nawet mam gdzieś zachowane niektóre egzemplarze tego pisma. Teraz z tych rzeczy, no były takie rzeczy, na przykład ja mieszkałem, o w tym domu. Proszę popatrzeć. To jest ulica Kleparowska, koszary piechoty i tu jest dom, tak zwany dom inwalidów. To się tak nazywało tradycyjnie, nazwa austriacka, bo to był, właściwie zameczysko budowane dla cesarza jako króla Polski czy Galicji. On z tego zrezygnował, podarował to inwalidom. Tam faktycznie jedno skrzydło zajmowali inwalidzi, a pozostałe, centralne skrzydło, największe i drugie boczne skrzydło zajmował szpital wojskowy. Tam były też mieszkania dla rodzin wojskowych, na drugim piętrze i myśmy tam mieszkali właśnie, w tym budynku. I proszę sobie wyobrazić, że w pewnym momencie, nie mniej, nie więcej, a ten budynek zajmuje NKWD. I pamiętam, to był pułk konwojowy wojsk NKWD z numerem 235 albo 236, który przybył do nas z Władywostocka. W ogóle pod Lwowem była skoncentrowana dywizja NKWD, tych panów, którzy właśnie wywozili, powiedzmy wszystkie te roboty policyjne wykonywali tam. Tam,

proszę pana, oni, właściwie te koszary były prawie zawsze puste, bo oni ciągle byli w akcji. Oni rozjeżdżali w rozmaite, na rozmaite tereny, dla przeprowadzania tych akcji wywozek czy aresztowań. I myśmy na przykład śledzili bardzo dokładnie ich ruchy. To właściwie była taka akcja wywiadowcza. To znaczy, jeżeli oddział zbierał się na odprawę, a te odprawy trwały godzinami, stali 2, 3 godziny, to myśmy dawali znać swoim już tam, że będą wychodzili i chłopcy szli za nimi, zmieniając się zresztą i stwierdzali, gdzie oni idą. Bardzo często wyjeżdżali. To znaczy były pociągi podstawiane gdzieś tam na bocznicach i tymi pociągami wyjeżdżali, na tereny jakieś prowincjonalne. To znaczy do wywożenia ludzi powiedzmy tam gdzieś ze Stanisławowa czy z Tarnopola i tak dalej. Ale właściwej takiej powiedzmy organizacji ściśle wojskowej, to tam nie było. Broni było mało, właściwie to były takie szkieletowe drużyny, szkieletowe zastępy, ale po tych aresztowaniach w 1940 roku, w maju to się zaczęło, nas wtedy... Aha, co nas uratowało? Myśmy byli tam jak myszy pod miotłą.

[1B, 00:25:00]

Zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że mogą nas w każdym momencie wywieźć. To przecież są ci panowie, którzy wywożą, ale rzeczywiście, kto miał jakiejkolwiek możliwości usunięcia się z tego do rodziny, to korzystał z tego. Natomiast nas uratowało to, że matka znała świetnie język rosyjski. I już sprowadzili ci oficerowie swoje rodziny, z jednej strony myśmy mieszkali, z drugiej strony te rodziny. No i te panie przychodziły na pogadulki do mojej matki. Przy okazji można się było bardzo dużo ciekawych rzeczy dowiedzieć o tym, że męża nie ma, a co jego tak długo nie ma i tak dalej. Można się było dowiedzieć co, gdzie, jak. No i ta znajomość i te komitywy z tymi paniami, chyba pomogły w tym, bo myśmy byli jednymi z ostatnich, którzy się stamtąd wyprowadzili. To znaczy oni nas wyprowadzili, bo wywieźli rodzinę policjanta z Bogdanówki. To był domek jednorodzinny i nam dali ten domek. W ten sposób powiedzmy zerwaliśmy powiedzmy ten kontakt z tym budynkiem i to uważaliśmy za rzecz bardzo korzystną, bo to jeżeli by to trwało dłużej, to by chyba nas też wywieźli. No, ojciec nie żył, to matka się podawała za wdowę, że dawno umarł, że oczywiście kłamało się, że nie był wojskowym absolutnie i tak dalej. Jakoś tak to powiedzmy przeszło bezboleśnie. Wiem, że staraliśmy się przejść do, pod okupację niemiecką zdając sobie sprawę z tego, że mogą nas przecież wywieźć. Ja działając przez harcerskie te komórki legalizacyjne, wyrabiałem odpowiednie dokumenty nielegalne. To znaczy, ale w sposób powiedzmy fachowy zrobione. I mam gdzieś do dzisiaj te dokumenty, że powiedzmy fałszowane, które by nam dały uprawnienia ewentualnego powrotu do Radomska. Że matka jest obywatelką powiedzmy

miasta Radomska tam i tak dalej, że takie rozmaite te rzeczy, bo istniała tam, działała komisja niemiecka, która miała zabierać ludzi uciekinierów ponoć z tych. Oni brali tylko tych, którzy byli im wygodni. Okazało się, Ukraińców, których mogli wziąć do swoich oddziałów lub tym podobnych ludzi. Bardzo mało przeszło tych właściwych uciekinierów. Owszem, brali ludzi z nazwiskami niemieckimi w nadziei, że zrobią z nich volksdeutsche. Takie rozmaite rzeczy były, ale myśmy na przykład podając tam, bo były tam, ludzie byli podzieleni na setki, tysiące, byli setnicy, tysięcznicy, którzy robili spisy takie z adresami. To już było jasne, że to do wywożenia, więc ja podałem numer parceli pustej na Lewandówce, na wszelki wypadek, żeby tego, żeby nie wpaść pod tę falę wywozu z uciekinierami, czego spodziewaliśmy się i to nas uratowało, bo powiedzmy, zamiast...

[00:00:00] Gardynik_Jerzy_AW_I_0181_2A

JG: Bo powiedzmy zamiast ci, którzy się tam chcieli zarejestrować, zamiast pojechać do centralnej Polski, to pojechali do centralnej Azji chyba, przeważnie. No i tak. Po tym, parę miesięcy było takiego zastoju. W tym czasie, na tych przedmieściach już zachodnich, na Bogdanówce, bo tam nas wysiedlono, przechowywał się u nas jeden z oficerów KOP-u, porucznik Franciszek Urbanowicz. I on mnie wprowadził do tej siatki działającej tam. To była siatka Dobrowolskiego. Nie Macielińskiego, a Dobrowolskiego, ZWZ Dobrowolskiego. Później, powiedzmy w czasie okupacji niemieckiej, już skończyłem podchorążówkę, tą AK-owską. To był podajże 1943 rok, bo do tej pory to były takie gemeiny. I potem, po krótkim stażu w oddziale partyzanckim, bo to było obowiązkowe, właściwie trzytygodniowe, to się brało urlop z tego, z zakładu i szło się do partyzantki. Właściwie w tej partyzantce to było bezpieczniej niż we Lwowie, no ale w tym, jak ta wieś się nazywała, tam były oddziały samoobrony, pod Komarnem. Chłopy... Buczały, Chłopy Buczały, pod Komarnem. Tam byłem 3 tygodnie. Potem zostałem przydzielony na macierzystym terenie, jako zastępca dowódcy plutonu w czasie Burzy, dowódca plutonu przeszedł na szefa kompanii, bo to był podoficer, sierżant, a ja objąłem pluton już w czasie Burzy. A po Burzy, to znaczy już na przełomie grudnia/stycznia, grudnia 1944, stycznia 1945 zostałem komendantem tego rejonu. To znaczy już przetrzebionego, bo to część chłopców przeszła wtedy do oddziałów partyzanckich na Rzeszowszczyźnie. Tam były dosyć silne te oddziały, które usiłowały przyjść na pomoc Warszawie. No, zostały rozbite przez Rosjan, później powiedzmy same, po jakimś czasie zlikwidowały już, zrezygnowały z walki, zlikwidowały powiedzmy te swoje stany i rozpuścili ludzi, ale w każdym razie zdecydowanie władze, wojska radzieckie nie

dopuszczali do jakiegokolwiek ruchu, bo to trzeba było wyjść powiedzmy z lasu, iść powiedzmy szosą. Nie dawało to żadnego efektu. Próbowali nawet przechodzić w ten sposób, żeby jakimś rozstrzelonym szykiem, takim powiedzmy polami, grupkami po dwóch, po trzech i na to oni mieli rady. Zawsze powiedzmy wyławiali, nie można było przejść. Tam były takie wypadki, że rozbrajali powiedzmy poszczególne kompanie czy bataliony. To znów drugie oddziały nierozbrojone znów napadli w nocy na te oddziały rozbrajające, odzyskiwali broń, znów ich uzbrajali, ale to nic nie dawało. To nic nie dawało. W każdym razie ja uważałem, że nie należy powiedzmy z terenu rezygnować, że należy na terenie zostać i to mnie zgubiło. Chociaż ja nie wiem, czy jeżeli bym się znalazł w tych oddziałach, to może by w Polsce było jeszcze gorzej. Może by było w Polsce jeszcze gorzej. Z tym, że ja zostałem aresztowany gdzieś około 15 marca 1945 roku, coś w połowie marca.

[2A, 00:05:00]

WK: Panie Jurku, ale ja nic o Ukraińcach nie słyszałem, nic o banderowcach. Jakoś tak pan się prześlizgnął przez potężny okres czasu.

JG: Proszę pana, więc ja, oddziały samoobrony, które przeciwdziałały tym akcjom ukraińskim, były dosyć silne pod Lwowem i, nawiasem mówiąc, nasza, nasz rejon, nasza kompania, tak jak i kompania sąsiednia, z Zimnej Wody, były tymi oddziałami odwodowymi w wypadku konieczności interwencji przeciwko... Więc wracam w sposób bardziej usystematyzowany, chronologiczny, do omówienia moich powiedzmy, mojego osobistego udziału, po części też powiedzmy ogólnej sytuacji. Więc jak każdy powinien zacząć od zaprzysiężenia. Więc zaprzysięgł mnie porucznik Józef Chryplewicz, komendant rejonu pierwszego dzielnicy Lwów-Zachód, rejonu mojego macierzystego. Tam, gdzie powiedzmy ja byłem w tej siatce, gdzie powiedzmy kończyłem podchorążówkę i tak dalej. Pseudonim jego był „Jaś”, a w dokumentach on często figuruje jako „Jaś II”, bo jeszcze w sztabie był jakiś Jaś, więc z jego zaszyfrowano jako „Jasia II”. Oficer, który bardzo dzielnie spisywał się na swojej funkcji, właściwie nie dopuścił nigdy do żadnych uchybień. W okresie konspiracyjnym, on był po prostu idealny. Nieco gorszy był w okresie tym operacyjnym. Jeżeli chodzi, oczywiście kontakt z Chryplewiczem, to był jak wspomniałem, przez porucznika Urbanowicza Franciszka, to był porucznik KOP-u z Czortkowa, który u nas się ukrywał wraz z rodziną, od czasów jeszcze sowieckich, sowieckiej okupacji, oczywiście w tym oczywiście na Bogdanówce, bo nie było mowy, żebyśmy ukrywali oficera tam powiedzmy w koszarach NKWD. Chociaż, może wróć

jeszcze do tamtych czasów, mieliśmy przez długi czas, tam właśnie w koszarach NKWD dwóch żołnierzy, których po prostu z litości wziąłem z ulicy. To byli żołnierze, którzy przyszli na tereny wschodnie z Łodzi, z Częstochowy. Następnie byli wywożeni do Rosji i zachorowali na czerwonkę. Dostali się do szpitala dla jeńców wojennych w Dubnie, już prawie na granicy sowieckiej. Transporty pojechały, oni wyzdrowieli i po prostu wyrzucili ich za bramę. Oni biedacy przyjechali do Lwowa, ja widzę takich dwóch opartych o mur, no i podjąłem ich tam i przedstawiało się ich jako rodzinę, jako uciekinierów. A jeszcze do okresu wcześniejszego wracając, przepraszam za ten brak chronologii, w sposób spontaniczny, nieorganizowany w sensie powiedzmy bardziej ogólnym, wykorzystując tę sytuację, jaka była w tym budynku poszpitalnym, w 1939 roku we wrześniu, w październiku, od początku listopada przyjmowaliśmy całe tłumy żołnierzy polskich, którzy ciągnęli na granicę rumuńską, względnie węgierską. W szpitalu były łóżka, powiedzmy jakieś materace, można było na tym przenocować. Było masę nawet mundurów pozrzuconych przez żołnierzy, przy rozbrajaniu. Płaszcze na przykład czy coś takiego, te te się zaopatrywało. Mieliśmy jeszcze pewne zapasy żywności, prawda? I tych ludzi się po prostu tam jakby przyjmowało na noc i następnego dnia się odprawiało na granicę.

[2A, 00:10:00]

Którzy z nich przeszli, myślę, że bardzo niedużo, bo później z granicy wozili całe transporty tych tak zwanych graniczników, jak to się później dowiedziałem, w Workucie, że tam byli. Tych graniczników było najwięcej spośród Polaków. Tak, że to była akcja może bez właściwego efektu, ale w każdym razie co mogliśmy, tośmy robili. A nawet mamy niektóre zdjęcia tych żołnierzy, którzy zostawili swoje zdjęcia. Teraz, to jest powiedzmy jeżeli chodzi o te... Aha, i ci żołnierze, ci dwaj, jeden poszedł w 1941 roku na przełomie tak wiosny i zimy, sam, w mroźnej wodzie wiem, przeszedł sam i dostał się do Częstochowy. A drugiemu udało się, ponieważ on miał nazwisko niemieckie, nazywał się Werner, to oni takich z chęcią brali. Później miał kłopoty, właśnie przeszedł legalnie przez tę komisję, później miał kłopoty i musiał powiedzmy zwijać z terenu Łodzi i przechowywał się na jakichś innych terenach. Tak, to taka powiedzmy mała dygresja. Aha, natomiast porucznik Urbanowicz był zaangażowany początkowo w tak zwane „piątki oficerskie”. Były takie powiedzmy piątki organizowane celem pomocy jakiejś, organizowania pomocy oficerom. To było po prostu legalizacja ich w nowych warunkach, to znaczy uzyskiwanie fałszywych dokumentów. I tutaj bardzo dużo robili księża, którzy wydawali dokumenty na przykład zmarłych, których nie rejestrowano w odpowiedni

sposób. Ja wiem, że Urbanowicz później się nazywał Kmiecik. Tak, przez cały czas okupacji sowieckiej i niemieckiej. I trudnił się, był zatrudniony jako dozorca przy kopczykach kartoflanych, tak jeszcze mierzył temperaturę, coś tam robił, takie rzeczy. Jakoś się przechował, ale jego udział w konspiracji był ograniczony, już we właściwej konspiracji, bo tam piątki, bo ja się nie bardzo orientowałem, powiedzmy tam w te rzeczy nie wnikałem, ale później, w późniejszym czasie jego typowali na dowódcę wyższego szczebla, bo to był oficer zawodowy, z KOP-u. On był zresztą w Brygadzie Maczka, w tej dziesiątej brygadzie. Tam był jakiś oddział kawalerii KOP, on tam był. On się ograniczał tylko właściwie do szkolenia i między innymi był komendantem tych kompletów podziemnych, szkoły podchorążych piechoty. W moim mieszkaniu na Bogdanówce, przy ulicy Konduktorskiej, był jeden z takich punktów nauczania, szkolenia. Była nas zawsze czwórka, to znaczy sam wykładowca i trzech elewów. Jeden nawet kolega mój licealny...

WK: I talia kart pewnie w pogotowiu?

JG: Oczywiście, oczywiście, to zawsze było i był zapis w razie czego, ale nigdy to się nie przydało. Jakoś szczęśliwie przeszliśmy przez to wszystko. Łącznie z tym, że na przykład broń nam dostarczał nasz chłopak, przyjeżdżający na motocyklu w mundurze niemieckim. Tam się rozbierało powiedzmy MPI, składało się i on to brał z powrotem i jechał. Tak, że tak, ale z innego terenu, taki system był. No, jeżeli chodzi o szkołę podchorążych, to była oczywiście szkoła, to się nazywało „zastępcze kursy szkoły podchorążych rezerwy piechoty”. Tak się nazywało.

[2A, 00:15:00]

Więc oczywiście, szkolenie było w sposób naturalny no ograniczone do specyficznych warunków konspiracji, walk ulicznych i walk powiedzmy leśnych, walk powiedzmy takich typowo partyzanckich. Zasadniczo szkolenie w zakresie podręcznika dowódców plutonów, do tego się tylko ograniczało. No, i pewne elementy regulaminu piechoty, nie wszystkie też. To było takie wybiórcze. No, jeżeli chodzi o egzamin, no przy egzaminie był właśnie i Chryplewicz, i Urbanowicz i komendant dzielnicy, to był kapitan Kozik. Jego nazwisko to się dowiedziałem dopiero po wojnie. A pseudonim miał „Walek”, jeden z jego pseudonimów było. Był „Walek”, a drugi „Karski”. „Karski” to był właściwy pseudonim, który on używał, ale w tamtych warunkach właściwie tak jak mówiłem te, Chryplewicz był powszechnie znany i

„Karskiego” też dużo ludzi znało. Ja natomiast, jako komendant rejonu, byłem, powiedzmy zachowywałem się jak komendant ściśle, jako komendant ściśle konspiracyjny. Mnie znali tylko dowódcy plutonów, łączniczki i komendant dzielnicy. W tamtych warunkach nie można sobie było pozwolić na inny system. Myślałem, że to mnie zabezpieczy, ale okazało się, że wcale mnie nie zabezpieczy. Wcale mnie nie zabezpieczyło, bo osoba, której bardzo wierzyłem, okazało się, że jednak powiedzmy pewne informacje przepuściła, właśnie łączniczka. I przez to się znalazłem tam w tym. Tak, ale to przykre sprawy. Teraz, no jeżeli chodzi o powiedzmy działalność, właściwie większych akcji nie było. To znaczy może większe akcje były, nawet akcje takie, które się szerokim dosyć echem odbiły, w sensie efektu, ale odbywały się bez jednego strzału. Ja byłem wtedy w osłonie, w pewnym momencie. Nie pamiętam dokładnie jaki to był czas. Wpadł szef BIP-u obszaru, Sadowski. I postanowiono jego wyciągnąć z więzienia. On miał bardzo trudne śledztwo w tym sensie, że on dosyć dużo gmatwał i coraz to inne wiadomości podawał, oczywiście zmyślane Niemcom, przez co on dużo cierpiał i obawiano się, że on może nie wytrzymać. I dlatego postanowiono, że lepiej go jest wyciągnąć, niż by on miał sypnąć, za dużo wiedział. I dano mu znać, była komórka wywiadu więziennego, niektórzy z tej komórki w okresie Polski Ludowej zostali sądzeni, zostali osądzeni przez sądy PRL-owskie za współpracę z Niemcami, co absolutnie nie było prawdą. Ci ludzie byli wsadzeni do załogi więziennej z określonymi zadaniami i żeby wiedzieć, co się dzieje w czasie śledztwa. Stąd wiedzieli, co się dzieje z Sadowskim, jak on się zachowuje. To byli przede wszystkim tłumacze podczas śledztwa, niektórzy, nie wszyscy. Od nich te wiadomości pochodziły. Ja nawet przez jakiś czas jednego z tych tłumaczy, to znaczy przez krótki czas, przez jakiś tydzień, przechowywałem u siebie w domu, po wpadce jak Niemcy się zorientowali, skąd te wiadomości przechodzą.

[2A, 00:20:00]

Później się znalazł pod inną opieką, ale w pierwszym momencie nawet mu nie chciano dać opieki, bo się bano jego tak. Ja już ryzykowałem po prostu, na podstawie kontaktów takich osobistych, zaryzykowałem i okazało się, że zupełnie słusznie, nie można było człowieka zostawić powiedzmy na los Niemców. No i tam była też na oddziale kobiecym, żona sierżanta. Zapomniałem jej nazwisko. Mieszkała w Sosnowcu, zmarła. Ona była zasądzona bodajże na 10 lat za współpracę z Niemcami, a to była kobieta, która szalenie dużo pomogła, w sensie rozeznania tej sytuacji, jaka tam jest w więzieniu i pomocy powiedzmy wytypowanym więźniom, więźniarkom właściwie. Tak, aha, więc mówiłem o tej akcji na Sadowskiego. Jemu

dano znać, że ma markować atak ślepej kiszki i udało się jego przesunąć do szpitala więziennego, który znajdował się w szkole, przy ulicy Zamarstynowskiej. Tam natomiast, w szpitalu więziennym, pracowała również jako powiedzmy wtyka, jedna z lekarek naszych. Zapomniałem jej nazwisko w tej chwili. To by trzeba popatrzeć, może w dokumentach, która powiedzmy to wszystko ustawiała. I jako alibi dla siebie, miała być w czasie tej akcji pobita. Oczywiście, chłopcy którzy nie orientowali się w tej grze, pobili ją zbyt solidnie. Rzeczywiście, że ona po tym chorowała dosyć poważnie, ale akcja się udała. To znaczy, Ukraińców, tych unieszkodliwiono, po prostu bez strzału związano i zakneblowano. Nagłym napadem, ją zbito, tam jeszcze kilku zbito i jego wzięto na ulicy, czekał fiakier, który był fiakrem zastępczym, bo miało przyjechać auto i nie przyjechali. Chwycili jakiegoś, byle jakiego z ulicy, kazali mu tam czekać. Ten się zorientował, że coś tutaj śmierdzi, nie tak jest i uciekł i w ostatnim momencie złapali jakiegoś drugiego fiakra, który też się nie orientował i pojechali z Sadowskim. Sadowski został później na melinie i w krótkim czasie przerzucony został do Warszawy. Ja tam stałem wtedy jako świeca w rejonie więzienia wojskowego na ulicy Zamarstynowskiej. Był to punkt najbardziej niebezpieczny, taki newralgiczny, bo stamtąd można się było spodziewać powiedzmy reakcji Niemców na jakieś strzały. Na szczęście strzał żaden nie padł i powiedzmy na dany sygnał rozeszliśmy się, jak ten fiakier pojechał i akcja była zrobiona, że tak powiem, wzorowo. Wspomniałem też o akcji powiedzmy przeciwko kapusiom, ale to nie byli z naszych terenów. Na ulicy Sakramentek została zastrzelona kobieta i tam właśnie wtedy jeden z tych rannych wpadł do więzienia, z tych wykonawców, ale nie wsypał nikogo. Więc jeżeli chodzi o powiedzmy jakieś większe akcje, to właściwie nie było. To był okres, przynajmniej w naszym rejonie, to był okres szkolenia, powiedzmy produkcji broni takiej powiedzmy typu sidolówka, czy inne jakieś, powiedzmy granaty własnej produkcji. No, też powiedzmy o kolportażu prasy. Były wydawane takie periodyki jak „Biuletyn Informacyjny Ziemi Czerwieńskiej”.

[2A, 00:25:00]

To było wydawnictwo AK-owskie, „Wytrwamy”, to było wydawnictwo grupy Sokołowskiego, grupa Sokołowskiego. „Wierni Polsce”, to była grupa działająca poza strukturą AK-owską. Pułkownik Sokołowski był legionistą i w swojej działalności miał ambicje odtwarzania we Lwowie pierwszej dywizji legionowej, w czasie gdyby była powiedzmy sprzyjająca ku temu atmosfera. W każdym razie był to bardzo doświadczony dowódca konspiracyjnie, poprzez z POW mający do czynienia, jakieś doświadczenia miał. Były u niego wyspy, nawet jego syn został aresztowany jako łącznik i właśnie był w Workucie, w latach 1940-1941. 1940-1941, i

później wyszedł z armią Andersa, zginął pod Monte Cassino, jako podchorąży, starszy sierżant. No, powiedzmy to mówiłem o tym „Wytrwamy”. Było też wydawnictwo „Żołnierz Kresowy”, lwowskie wydawnictwo, wydawnictwo AK-owskie. I dosyć ciekawy, jedyne w Polsce wydawnictwo dla żołnierzy AK kobiet „Kobieta w walce”. Te powiedzmy, przede wszystkim te tytuły były kolportowane. Również, kontaktując się z Urbanowiczem, nie pytałem jego. Ciągłe on przynosił prasę endecką. Jak się nazywało? Dziennik Lwowski czy coś takiego, nie pamiętam dokładnie, w winiecie miał herb miasta. W każdym razie wydawnictwo endeckie, ale w pewnym momencie rozszyfrowałem co to jest. Przychodzę do Urbanowicza, a on pod samym lotniskiem miał swoją melinę, na takim gospodarstwie rolnym bogatych ludzi. Tych kolonistów austriackich, ale już czujących się Polakami. I Niemcy tam się kręcą, a to jajki, a to kurki, jak to Niemcy, chcą coś kupić. A młody człowiek, który tam syn gospodarzy, co jakiś czas wchodził na strych, schodził ze strychu i coś tam klepało tak. Wreszcie Urbanowicz nie wytrzymał i mówi: Powiedźcie temu idiocie, żeby przestał, chociażby jak Niemcy są. On klepał już jak Niemcy byli. Ja się wtedy zorientowałem, że tam właśnie była w tym czasie drukarnia tej endeckiej gazety i stąd on miał te wszystkie egzemplarze, bo to jak się przenosiło na przykład, ja pracowałem w zakładzie Weigla, i myśmy się tak nawzajem troszeczkę rozszyfrowywali, no bo: *Masz? Czytałeś? Dziękuję, już czytałem.* To wiadomo, że już gdzieś jest zaangażowany, jak tak kilka razy już powiedział, a ja im daję ciągle powiedzmy tą endecką gazetę. *A ty jesteś z tych,* mówi. Ja mówię: *Nie, nie z tych.*

[00:00:00] Gardynik_Jerzy_AW_I_0181_2B

JG: W ogóle, instytut Weigla, gdzie pracowałem, był instytutem całkowicie opanowanym przez Polaków. W tym boksie, gdzie ja pracowałem, tam właściwie wszyscy byli w konspiracji. To się czuło. Już nie mówiąc o jakimś podziemnym nauczaniu, gdzie młodzi ludzie chodzili do jakiejś szkoły czy coś takiego.

WK: Przepraszam, czy tak jak w Warszawie, też oficerki nosiliście dla niepoznaki?

JG: Więc to był idiotyczny sposób właśnie. To był idiotyczny sposób, ale nie wszyscy to nosili. Nie wszyscy to nosili. Ja wiem, że była nawet pogarda dla niektórych dowódców prawdziwych konspiracyjnych, major Lech był taki, szef sztabu oddziału tego, okręgu lwowskiego. Na koncentracji przy zrzutach, ci panowie zawsze nosili się w sposób konspiracyjny, a więc taki troszeczkę niedogolony, w mundurze kolejarza, a tu wszyscy w mundurach powiedzmy

konspiracyjnych, buty z cholewami, bryczesy. On chce nimi komenderować, a oni nie chcą. Kto to chce nami rządzić? To jest pogarda. Więc dopiero trzeba było ich innymi sposobami uciszać, że to jednak trzeba słuchać tego człowieka, bo jest znacznie ważniejszy w tym wypadku niż wy. Oczywiście nie wiedzieli, kto to jest. To był szef sztabu. Tak, więc tam na przykład u Weigla, ze mną w jednym boksie pracował porucznik Madorowicz, pseudonim „Osa”. Jak się później dowiedziałem, to był komendant rejonu na Pasiekach Łyczakowskich tam. Później był porucznik Kaniak. To znaczy nie porucznik, to był oficer straży granicznej, więc on się nazywał jakoś inaczej, inspektor czy coś takiego. Nie wiem, jak to i też był gdzieś zaangażowany, ale jego nie rozszyfrowałem do dzisiaj. Później go nie spotkałem. Był pan Neuhoff, profesor Neuhoff, który był związany z delegaturą rządu. Był profesor Ogielski z Politechniki Wrocławskiej, do dzisiaj nie wiem, gdzie on, ale to się czuło, że to jest z tego. Pani Tischnerówna, to była córka przewodniczącego Polskiego Komitetu Opieki we Lwowie, profesora Tischnera. Ona dużo dla mnie korzystnego zrobiła, w sensie powiedzmy wydobywania mnie z Baudienstu czy coś takiego, bo mnie brali do Baudienstu, tam powiedzmy przez swoje chody to zrobiła. No i tak właściwie, że w tym zakładzie, przychodzono na przykład, przychodziła pani Broniarska, to był szef tego działu żywienia, tych karmicieli wszy, bo to wszarze byli. Przynosiła, mówi: *Temu człowiekowi trzeba dobrze zapisać*. To wiadomo było, co tam, kto to jest. Ja się później dowiedziałem, bo pamiętałem nazwiska. Zawsze były nazwiska na tym i później, po wojnie się dowiedziałem, że to był szef oddziału pierwszego w okręgu na przykład, major Borkowiec i inni tacy, to właściwie ten instytut dawał bardzo solidne dokumenty. Dawał dokumenty Oberkommando der Wehrmacht, z takich czarnym pasem i to nic, nie żadna łapanka, żadne powiedzmy takie represje, typu pospolitego nie chwytały w tym wypadku. A poza tym, z chęcią ludzie z konspiracji garnęli się do tego, bo to dawało uzasadnienie ruchliwości. Po mieście chodzić, trzeba było dwa razy przychodzić w ciągu 8 godzin. No i powiedzmy, i te dokumenty bardzo, bardzo solidne, to były te rzeczy, które powodowały, że dzięki profesorowi Weiglowi, cały instytut był pod wpływem Polaków, bardzo oczywistym.

[2B, 00:05:00]

Nasze oddziały rejonu pierwszego, to znaczy Sygniówka i rejon Zimna Woda, były wytypowane jako oddziały odwodowe w razie czego, używane do akcji przeciwko Ukraińcom, do wspomagania na innym terenie, ale właściwie takich okazji za dużo nie było, poza akcją na Szolomyję. To jest specjalna historia. Zasadniczo myśmy unikali wszelkich agresywnych

jakichś poczynań wobec Ukraińców. Rzec sprowadzała się do samoobrony. W tym wypadku, w tym jednym wypadku pod Lwowem zrobiono wyjątek. To znaczy to była akcja atakująca. Dlaczego? W tym czasie między dowództwem ukraińskim, UPA a naszym dowództwem była już łączność i były poruszane sprawy tych rzezi ukraińskich. Delegaci do tych rozmów ze strony UPA, zapewniali o tym, że będą działać na rzecz wstrzymania tych mordów, a faktycznie, faktycznie nie działali w tym kierunku. To znaczy działali na zwłokę. Powiedziano im, że jeżeli to się nie, jeżeli oni nie potrafią tego opanować, oni twierdzili, że oni nie mogą tego opanować, bo to jest jakiś spontaniczny odruch, w co im absolutnie nie wierzone. Jeżeli nie potrafią tego opanować w odpowiednim terminie, to nastąpi odpowiedź, że my możemy przecież to samo robić co wy, żeby po prostu wymusić na nich te zaniechania. Oni nie chcieli z tego rezygnować. Oni już podciągali siły swoje pod Lwów. Spodziewali się, że będzie jakaś akcja wojskowa ze strony polskiej we Lwowie i oni chcieli manifestować ukraińskość miasta też, prawda? Do takich rzeczy później dochodziło. Jako ostrzeżenie właśnie była akcja na Szołomyję. Z tym, że wywiad ukraiński sobie z tym poradził. Dowiedzieli się w ostatnim momencie o zamierzonej akcji i ewakuowali wieś. Wieś była pusta. Natomiast została spalona, ale ani jeden człowiek tam nie stracił życia ze strony ukraińskiej. Oni to dzisiaj rozpowszechniają jako wielką krzywdę dla siebie, na tle powiedzmy tych tysięcznych przykładów morderstw, we wszelkich innych okolicznościach i rejonach. Próbowali nawet w czasie akcji Burza zademonstrować militarnie swoją obecność we Lwowie. Oddziały KEDYW-u, które obsadziły Politechnikę i sąsiedni rejon, w tym rejon Placu Jura, zauważyły, że z cerkwi Jura, do cerkwi Jura ciągną młodzi ludzie. I nastąpiła interwencja, w stosunku do władz kościelnych. Patrol tam poszedł, patrol z kapitanem siwym. Szewczyk, Wilhelm Szewczyk. Nie Wilhelm, Szewczyk w każdym razie. Szewczyk to nie Wilhelm. I po tym wszystkim wyszedł któryś z dostojników kościelnych, ukraińskich, ich zwyczajem na tacy podał białego koguta zarżniętego, to znaczy z przeciętym gardłem, co u nich było znakiem pokoju, ale tym niemniej były tam jakieś wypadki, że była strzelanina i kilku Ukraińców tam zginęło. To mało kto o tym wie, prawda? To jest dosyć taki, bo na przykład Ukraińcy na tle tych wypadków podają, że zginęło ich tam 200 osób, co jest kompletną nieprawdą.

[2B, 00:10:00]

Oni po prostu, no kłamią, kłamią. Oni zawsze kłamią. Oni w tym swoim Dekalogu nacjonalisty ukraińskiego, mówią właśnie: *Kłam, gdy to jest konieczne, gdy to jest dobre dla sprawy.* Kłamią. Więc nie można było powiedzmy tej wersji chociażby przyjąć ze względów

logicznych. Burza była bardzo udaną akcją we Lwowie. Nigdzie tak sprawnie nie przeszła, w żadnym innym mieście polskim jak we Lwowie i nasze straty w sumie przekraczały coś, niewiele 30 osób. Więc niemożliwe było zwalczenie powiedzmy 200, mając straty własne powiedzmy 30, a przecież straty to były straty przede wszystkim w walkach z Niemcami, a nie w walce z Ukraińcami.

WK: Ale tym niemniej były takie walki?

JG: Walki z Ukraińcami? Były, to znaczy były pojedyncze powiedzmy, jeżeli któryś się postawił, to go... Oni byli uzbrojeni, prawda? Jeżeli ci zbliżający się, to ich likwidowano po prostu na tym. Jeżeli wyciągnął broń albo coś takiego, no to likwidowano i po wszystkim.

WK: Czyli ile mogło zginąć Ukraińców?

JG: Ja myślę, że mogło zginąć no do 20, najwyżej, kilkunastu. Tego nikt nie liczył, ale coś takiego mogło być. W każdym razie nie 200. Teraz jedną powiedzmy z takich podstawowych naszych akcji, która dała duże efekty w rejonie naszym, to było uzyskanie wiadomości wywiadowczych na lotnisku. Nasz rejon obejmował również lotnisko (*nz*). Na lotnisku był pluton zakonspirowany, częściowo nawet uzbrojony, oficjalnie uzbrojony, wchodzący w skład osłony lotniska, niemieckiej osłony lotniska. I działały tam również panie z wywiadu, które pracowały tam jako sprzątaczkі czy coś w tym rodzaju. Wielkim problemem było w tym okresie, to był 1943/1944 rok, właściwe prognozy pogody dla lotnictwa. Nasze możliwości były skromne, mieliśmy bardzo dobrych fachowców, którzy nie mieli znów dostępu do odpowiednich urzędów. I w takich warunkach te prognozy zrzutowe często zawodziły. Należało uzyskać bardziej cenne materiały. Okazało się, że na powielaczu drukującym rozkazy i te właśnie prognozy dla lotnictwa i inne takie rzeczy, pracuje dwóch Ślązaków, stąd z Gliwic. Ja nie pamiętam ich nazwisk. Pamiętam natomiast jednego imię: Konrad. Oni byli szykanowani przez jakiegoś kapitana, który im ciągle groził, że ich wyśle na *Ostfront*. I zdeklarowali się nam pomóc w tym sensie, że po egzemplarzu tego, co oni odbijali, dawali jednej z pań tych sprzątarek, ona nam przekazywała. I po tym dopiero te zrzuty były prawidłowo obsługiwane pod względem prognoz meteorologicznych na właściwym poziomie. Tak, jeżeli chodzi o akcję Burza, no przygotowanie do akcji Burza trwało dosyć długo. Trzeba powiedzieć, że sytuacja specyficzna Lwowa w planowaniu sztabowym w AK, to była, Lwów był traktowany w sposób no specjalny.

[2B, 00:15:00]

Wiadomo, że jeżeli były plany powstania powszechnego, to na terenie obszaru lwowskiego w tym czasie nie przewidywano powstania jako takiego, a jedynie osłonę powstania ze względu na specyficzną sytuację z Ukraińcami. I rzeczywiście, na przykład województwo stanisławowskie to było najmniej polskie województwo w granicach przedwojennej Rzeczypospolitej. Przewaga elementu niepolskiego tam była specjalnie wyraźna, tak, że na przykład w planowaniu AK-owskim, otworzenie tej 11 Dywizji Piechoty, o której się tak dużo mówi, było przewidziane w trzecim rzucie. To znaczy pierwszy rzut w czasie akcji, drugi rzut tuż po akcji, a trzeci to już był właściwie w akcji już pokojowej i otworzenie 11 Dywizji było przewidywane w Rzeszowie w trzecim rzucie. O 11 Dywizji można mówić, natomiast jako o pewnych oddziałach powiedzmy dyspozycyjnych, szkieletowych, powiedzmy lokalnych. I powiedzmy normalnego stanu liczbowego, 11 Dywizja nigdy nie osiągnęła. Więc, natomiast w miarę zmiany sytuacji militarnej i politycznej, rola Lwowa stawała się bardziej równorzędna w stosunku do pozostałych terenów. To znaczy akcja Burza odbywała się na takich zasadach jak na całym pozostałym terenie Polski. Nawet bym powiedział, że na całym terenie Polski akcja Burza nie odniosła takich sukcesów i nie była taka wyrazista jak na terenie powiedzmy wschodnim, Wileńszczyzny i powiedzmy Wołynia i Lwowa. I tutaj chciałbym podkreślić, wiedzieliśmy już jak sprawy przedstawiały się w Wilnie, bo było to na jakieś 2 tygodnie bodajże wcześniej. Już wiadome było, że taka akcja powiedzmy...

WK: Zaraz, Wilno było wcześniej?

JG: Wilno wcześniej.

WK: Nie Lwów?

JG: Nie. Przed Wilnem była Wołyńska 27. I zarówno doświadczenie 27 jak i Wilna, to zmuszało do specjalnego podejścia do zagadnienia. U nas nie dokonano koncentracji. U nas była raczej dekoncentracja, po prostu na poszczególnych terenach, najwyżej kompania, w obwodach najwyżej batalion, ale nie było tych warunków, że można było otoczyć i wziąć powiedzmy wszystkich jednocześnie. Tak przecież było, wmanewrowano 27. przecież w okrążenie niemieckie. Do tego powiedzmy pod względem planowania wojkowego, ta nasza

komenda powiedzmy, no sprawiła się, dokonała powiedzmy w pewnym sensie majstersztyku. Faktem jest, że Lwów został zajęty przez Armię Krajową przed wkroczeniem Rosjan, ale akcja była od wewnątrz. Owszem, część oddziałów lwowskich wymaszerowała na zachód od Lwowa. Później, jak panu wspominałem, na Rzeszowszczyznę, z tą myślą, żeby w razie czego interweniować. Nie wiem jak by to wyglądało, a akcja Burza we Lwowie została przeprowadzona bardzo skromnymi siłami. 3000 żołnierzy, które właściwie pozorowały swoją, to wojsko pozorowało swoją ruchliwością większą ilość. No, twierdziliśmy, że jest nas 5000, ale to nie była prawda i Rosjanie zresztą się poznali na tym.

[2B, 00:20:00]

To są też fachowcy wojskowi. I przygotowania do akcji Burza poprzedził okres pogotowia. Wiem, no myśmy praktycznie mówiąc, na szczeblu plutonu wtedy, dowódcy plutonów i drużyn, już byli na swoich stanowiskach. Jeszcze żołnierze byli, powiedzmy po domach swoich. Były jeszcze w ostatnich dniach dostawy broni. To były melinowane powiedzmy po strychach, tych polepach tam na tym.

WK: Ale zrzutowe?

JG: Zrzutowe, tak. Myśmy byli dobrze uzbrojeni. Dostyc dobrze uzbrojeni. Duży było stonów zrzutowych. Były tepiaty do zwalczania czołgów. No i była broń powiedzmy ta, która była magazynowana, bardzo różnorodna. Aha, i były amerykańskie Smithy, te bębenkowce zrzutowe też, bo steny angielskie. I ja w pewnym momencie, jak wychodziło się do domu na obiad czy na kolację, wracało się znów na miejsce postoju, poszedłem na obiad i wracam, a ja mam odciętą drogę. Linia niemiecka, tam był tor kolejowy Lwów-Stanisławów, przebiegał w tej dzielnicy, obsadzona wojskami niemieckimi. Tam była taka wysoka skarpa, właściwie pociąg w takim rowie, z obu stron skarpy. Na jednej skarpie, na drugiej skarpie żołnierze niemieccy, oczywiście w pogotowiu bojowym, jakieś dołki sobie tam jeszcze porobili. Tak, że ja musiałem obchodzić ten teren kilometrami, żeby zejść i przejść na drugą stronę toru, bo musiałem się tam zjawić. Dla nas to była bardzo dziwna rzecz, zaskoczenie, co jest. Linie niemieckie frontem na zachód. Dopiero później się wyjaśniło, że Rosjanie przecięli im drogę odwrotu ze Lwowa, między Gródkiem Jagiellońskim a Lwowem. I oni się spodziewali ataku z Zachodu, w związku z tym powiedzmy ten front wojsk niemieckich tak się usytuował. No, ale po jakimś czasie oni zdjęli te swoje, zlikwidowali tą obronę wzdłuż toru i zajęli pozycje

na obrzeżu południowo-zachodni. Tak, że nasz właściwie rejon koncentracji w ten sposób troszeczkę uzyskał luzu. Tym niemniej jednak, po jakimś czasie znów zjawiły się oddziały niemieckie, bardzo silne w tej dzielnicy Sygniówka. I był moment krytyczny, bo jeszcze do nas miała dojechać amunicja, jeszcze granaty niemieckie, jeszcze część tych stenów. Proszę sobie wyobrazić wojsko niemieckie wszędzie, przyjeżdża samochód z rejestracją wojskową niemiecką, z naszym człowiekiem, w mundurze takiej obsługi wojskowej niemieckiej. To nie był wermachtowski, ale taki powiedzmy tych warsztatów naprawczych i wjeżdża, bo to już przedmieścia Lwowa, do stodoły, drzwi się zamykają od stodoły, wyładowują tą broń. I później musieliśmy wszyscy z tych miejsc czuwania, po kolei chodzić i wynosić tą broń i tą amunicję do oddziałów. Ja też musiałem iść w swojej kolejce i pamiętam, że dano mi Smitha do kieszeni. Tam się szło w tamtą stronę zupełnie swobodnie, z teczuszką. I do tej teczuszki naładowali mi naboje tych do stenów. Ja musiałem udawać, że to jest bardzo lekkie.

[2B, 00:25:00]

To było pękate i ja nie wiem, mnie się zdaje, jakiś Niemiec mnie spotkał taki i tak patrzy mi na kieszeń. Oni byli też ostrożni. Ja tak patrzę: *Cholera, przecież widać, że to jest kopyto*. Wsadziłem rękę do kieszeni i może to go uspokoiło i przyszedłem, ale to się odbywało już w takich warunkach, że powiedzmy na tym terenie, co 10, 20 metrów był Niemiec, bo oni byli tam rozlokowani w tych okolicznych domach. No, ale jakoś szczęśliwie to się wszystko odbyło. Wreszcie Niemcy wyszli z tego terenu naszego i zajęli pozycje na północ od szosy Lwów-Przemyśl. Myśmy byli w tym bardzo newralgicznym punkcie. To były zachodnie wyloty z miasta i przypuszczaliśmy, że właśnie nasza rola będzie albo bardzo ciężka, albo bardzo tragiczna, bo nas mogą zmieść. Myśmy mieli taką sytuację, że po północnej stronie szosy była koncentracja sąsiedniego rejonu, Lewandówka. Porucznik Michał, jak on się nazywał? Zapomniałem jego nazwisko. Tutaj Chryplewicz dowodził, na południe od szosy. Poniżej w stronę kościoła świętej Anny, wzdłuż ulicy Grodeckiej była koncentracja czwartego rejonu. To była, tam było trzy kompanie. I w odwodzie, w szkole Sienkiewicza był trzeci rejon, tutaj od strony Konarskiego, Sienkiewicza. I tam było dowództwo tego zgrupowania Zachód. Oprócz tego, zgrupowaniu Zachód były podporządkowane wszystkie inne rejony: Zimna Woda, tam Brzuchowice i tak dalej, kapitanowi Karskiemu. No i co się okazało? W pewnym momencie, to jest właściwie pierwsze godziny naszego wystąpienia, słyszę czołg jedzie ze strony wschodniej. Wychodzę, patrzę się, jedzie taki zardzewiały kolos, sowiecki już myślę, niemiecki, sowiecki. Dałem im znak, bo myśmy stali na obrzeżu osiedla, tam był duży majdan,

takie pole niezabudowane, trawnik taki i szosa przy tym majdanie. A tam już stała artyleria przeciwpancerna, działka przeciwpancerna, niemieckie.

WK: A, i mogli ich łatwo zgasić?

JG: Tak, tak. I ja wychodzę do nich, mówię jak, co, a oni (nz). No to z konieczności usiadłem.

WK: Ale na czołgu czy do wewnątrz?

JG: Na czołgu, na czołgu i piechota była na czołgu też, patrol tam. Jeden czołg taki zwiadowczy. W tym momencie, jak my...

[00:00:00] Gardynik_Jerzy_AW_I_0181_3A

JG: W tym momencie, jak my zbieramy się siadać na ten czołg, tamci zauważyli i buchnęli jednym tym, strzałem. No to tylko ten dowódca (nz), czy ktoś nie dostał odłamkiem, nic, wszystko w porządku. Usiedliśmy, Niemcy nie wycierpieli nerwowo. Zobaczyli czołg na pełnym pędzie w stronę ich zbliżający się, zwinęli swoje powiedzmy stanowisko i zniknęli za domami.

WK: Ale armaty zabrali?

JG: Zabrali, tak. Zabrali i ci wrócili po prostu do swoich oddziałów i przez tydzień nikogo nie było. Ja mam wrażenie, że oni mieli nadzieję, że Niemcy nas zduszą, ale Niemcy byli dosyć grzeczni, bo byli bardzo słabi. Oni dostali porządne cięgi tam pod Brodami. Między innymi dostała tam cięgi ta słynna dywizja ukraińska SS-Galizien. Myśmy się obawiali najbardziej właśnie tych Ukraińców, bo oni byli bardziej bezwzględni niż Niemcy. Tak, że SS-Galizien nie brała udziału w akcji na Lwów, w ogóle. Została odprowadzona na tyły do uzupełnień, a Niemcy właściwie tego odcinka od Wołynia po Karpaty bronili siedmioma dywizjami. To był bardzo cienki front. I dlatego byli tacy grzeczni. Po prostu pod wpływem powiedzmy, pod naciskiem oddziałów AK-owskich i później również sowieckich, zwłaszcza na wschodzie i w śródmieściu, ewakuowali się do północnej części miasta, tej najbardziej górzystej, która dawała wgląd w całość powiedzmy tego i tam ostrzeliwali artylerią miasto. Natomiast tutaj, powiedzmy na wschodzie, w śródmieściu trwały walki dosyć grzecznie odstępowali i nasza

rola okazała się bardzo bezpieczną na tym wylocie zachodnim z miasta. Niemcy byli okopani wzdłuż linii kolejowej Lwów-Sambor. Lotnisko było wolne. Był taki moment, że pamiętam w przeddzień, wieczorem, zanim ja poszedłem na patrol, wysłano patrol, który nie wrócił. Pamiętam tych chłopców. To byli robotnicy w jakichś takich powiedzmy ferszalunkach, coś takiego. Tak ze smutkiem na nich patrzyłem, coś mi było bardzo smutno, że oni tam idą. No i oni nie wrócili. Na drugi dzień rano, ja zostałem pchnięty z patrolem w tym samym kierunku i stwierdziłem, że ich tam nie ma. Od ludności cywilnej dowiedziałem się, że zostali wzięci do niewoli. Później okazało się, że zostali rozstrzelani przez Niemców już za linią frontu. W tym czasie zauważyłem, że Niemcy na transporterach zaczynają jechać w kierunku naszego zgrupowania, ze wschodniej części lotniska. No i w tych warunkach co mogłem zrobić? Już nic, tylko dać znać strzałami, że coś takiego się dzieje i zszedłem po przekątnej, na drugą stronę szosy. Tam się jakieś magazyny niemieckie paliły, bo Niemcy mnie widzieli, bo oni byli usadowieni wzdłuż toru tam, ale daleko byli od tego i ich ogień był bardzo niecelny. No ja znając teren, ta kluczyłem przed tym, a nasi się musieli wycofać. Tak było przez kilka godzin, że ja nagle znalazłem się na tyłach Niemców, ale jakoś szczęśliwie powiedzmy ten patrol przetrwał. Oni później wrócili tam właśnie z odwodami, kapitana Karskiego, ze szkoły Sienkiewicza, zajęli z powrotem ten teren. Ja próbowałem się zameldować Chryplewiczowi, a on nie chciał przyjąć w ogóle meldunku.

[3A, 00:05:00]

Nie wiedziałem, co jest, a on już nie był dowódcą. Karski go usunął, że powiedzmy nie sprawił się, że za lekko oddał ten teren, ale rzeczywiście sytuacja była groźna dosyć, bo na Lewandówce, to znaczy na prawej naszej flance, na północ od szosy Lwów-Przemyśl, działał porucznik Michał i jego oddział Niemcy roznieśli. On próbował tam opanować jakieś magazyny wzdłuż ulicy Janowskiej, przy ulicy Janowskiej, a ulica Janowska właśnie okazała się tą ulicą, którą Niemcy się wycofywali ze Lwowa i tam oni nie chcieli powiedzmy nikogo mieć, zaatakowali jego, on się wycofał do szkoły na Lewandówce. Oni tam tą szkołę spalili, oni się wycofali i po prostu rozproszyli się już i nie odegrali żadnej roli w dalszych działaniach i nasza prawa flanką właściwie zawisła w powietrzu. Również porucznik Róg z czwartego rejonu, tam już bliżej śródmieścia, też utrzymujący łączność bojową, prawda? Z Niemcami wzdłuż ulicy Janowskiej, po stratach we własnych oddziałach, miał bodajże 4 zabitych zdecydował, że powiedzmy tu nie ma żadnej szansy wobec liczebności wojsk niemieckich i to broni pancernej i wycofał się w stronę właśnie szkoły Sienkiewicza, do dyspozycji Karskiego.

Tak, że myśmy właściwie zostali na tym terenie sami, na Sygniówce. Taka wysunięta *forpost* z tym, że to działanie niemieckie, które oni wykonali w stosunku do nas, to było raczej działaniem pozorowanym. To znaczy działaniem obliczonym na może zmylenie powiedzmy w sensie kierunku wycofywania się czy coś takiego. Oni się nie wycofywali tą ulicą, wycofywali się Janowską i tam Żółkiewską, dalej na północ od miasta. Po tej, po jakimś, dopiero po 6 dniach bodajże, do nas dotarły oddziały rosyjskie. Pamiętam, że oprócz piechoty, strasznie to wszystko wyglądało. Umundurowanie fatalne, ale sprzęt jaki mieli, no ja nie mówię o piechocie. Tam była jakaś duża jednostka artyleryjska, dywizja artyleryjska taka cała, piękny sprzęt amerykański mieli, ale oni na tle tego sprzętu wyglądali genialnie. Krasnoludki przy jakimś drapaczu chmur. Piękny, piękny sprzęt mieli. No i wtedy zaczęło się już penetrowanie naszych oddziałów. Aha, po tym, jak wróciły nasze oddziały, Jasiu, to znaczy Chryplewicz przestał być dowódcą zgrupowania. Dowódcą zgrupowania został kapitał Osiowski, pseudonim „Sęk”. To był szef sztabu z organizacji „Wierni Polska”, tej piłsudczykowskiej. Sokołowski nie ujawniał się i słusznie robił to. Zachował te swoje struktury i zachował ludzi. Natomiast Sęk uważał, że powinien brać udział w działaniach, odmeldował się od niego, u niego. Zameldował się u Filipkowskiego. I okazuje się, że to byli oficerowie dobrze znający się. Filipkowski generał, dowódca tego zgrupowania lwowskiego, bo Filipkowski przed wojną był dowódcą pierwszego pułku legionów.

[3A, 00:10:00]

A Osiowski był dowódcą plutonu artylerii w 5 Pułku Legionów w Wilnie. Tak, że oni z ćwiczeń się znali. Mówię, co pan, nie wiedzieli, jeden o drugim nie wiedział. No, bo pan się u niego meldował, dobrze, tak mnie jak on później opowiadał. I wobec tej zagrożonej sytuacji na naszym odcinku, Osiowski przejął dowództwo i rzeczywiście wtedy dopiero było widać sprawną rękę oficera zawodowego, bo Chryplewicz był oficerem rezerwy i to jednak rzutowało. No, ale już tam się nic specjalnego nie działo, poza jakimś luźnym ostrzeliwaniem artyleryjskim. Tak, że myśmy w sumie mieli tam na tym odcinku czterech zabitych tylko. Tylko czterech zabitych. No, gdyby podjął Jasiu Chryplewicz tą walkę, z pewnością byłoby znacznie więcej. Więc ogólnie rzecz biorąc, akcja Burza przebiegała w gruncie rzeczy na linii wschód-zachód, poprzez śródmieście, te rejony były objęte walkami. Z dzielnicy południowej Niemcy się bardzo grzecznie wycofali, rozumiejąc swoją trudną sytuację. Oni byli przecież okrążeni w gruncie rzeczy tam. Natomiast długo dosyć utrzymywali w swoim ręku dzielnicę północną, Kleparów, Zamarstynów, Żółkiewski. Tam właśnie gdzie Kaziu był, tak, że tylko częściowo

tamte oddziały brały udział w Burzy cały czas, a w ostatnich dniach dopiero całość tego, tej dzielnicy północ. Pierwsze kontakty oczywiście były od wschodu, tam dowodził pułkownik, właśnie w tej chwili trudno, wyleciało mi to nazwisko z głowy. W każdym razie był taki incydent, że pierwszą rzeczą, którą było, to aresztowali pułkownika Sowieci. Dopiero później na interwencję dowództwa on został wypuszczony. Walki były na wschodzie, walki były w Śródmieściu, zwłaszcza rejonie ulicy Placu Krakowskiego, teatru. Tam przez jakiś czas przebiegała linia ognia. Walki były wzdłuż ulicy Janowskiej, tak jak wspominałem, w rejonie czwartym. Porucznik Róg i inni, później się wycofał, tam na, do szkoły Sienkiewicza. No i wspomniane walki Janiaka, to jest właśnie przypomniałem sobie Janiak, to pseudonim „Michał”, porucznik ten z Lewandówki. No i my tam na Sygniówce. No, ale na naszym skrzydle już były oddziały zgrupowania dzielnicy południowej, tam gdzie właściwie był już spokój cały czas. W rezultacie miasto zostało dosyć łatwo opanowane i co specjalnie drażniło Rosjan, zostało oflagowane całe miasto flagami polskimi, bez żadnych powiedzmy innych flag. To ich specjalnie złościło. Już po opanowaniu sytuacji, po właściwie rozbrojeniu oddziałów AK, oni kazali ludności te flagi ściągać. Były rozmaite, dosyć sytuacje takie, że nie mogli sobie dać rady, na przykład na browarze, przy ulicy Kleparowskiej, kolega mój Mozer, nazwisko, wywiesił na kominie, wysokim kominie browaru flagę i nikt nie chciał po tą flagę wejść. Rosjanie nie potrafili, a miejscowi nie chcieli. Więc Rosjanie urządzali sobie strzelanie do tej flagi, prawda? Żeby chociaż w ten sposób jakąś ją utracić, ale ona wisiała bodajże jeszcze 2 tygodnie po ich wejściu na kominie tym. Teraz, między dowództwem rosyjskim a dowództwem AK trwały pertraktacje, rozmowy, które właściwie nie pozostawiały dużo nadziei.

[3A, 00:15:00]

Nie pozostawiały dużo nadziei, bo przecież oni powiedzieli wprost, że to jest: *Tak, tu jest większość ludności, ale tereny to są radzieckie. Wy musicie to uznać.* I tak dalej. Owszem, na pytanie zadane generałowi Filipkowskiemu czy jest za dalszą walką z Niemcami, on powiedział, że tak. No, w tej sytuacji oni skierowali go do Żytomierza, na rozmowy z generałem Rolą-Żymierskim. Oczywiście, to był pomysł odseparowania sztabu od szerszych kręgów tych dowódczych. Pojechał wtedy Filipkowski, Pochowski, to był szef „dwójki”, ale on tam markował szefa sztabu wobec Rosjan, Czerwiński, pułkownik Czerwiński, dowódca tej odtworzonej piątej dywizji piechoty AK. Właściwie dowodził, taktycznie dowodził właśnie Czerwiński w czasie Burzy, nie Filipkowski. Filipkowski był powiedzmy zaangażowany w te rozmowy z Rosjanami. No, i tam po krótkich rozmowach z Rolą-Żymierskim, z innymi

oficerami powiedzmy tymi kościuszkowskimi stało się jasne, że nie ma podstaw do tego, żeby mieć nadzieję, że to będzie jakaś dywizja. Oni nawet mówili o dwóch dywizjach, że będzie można odtworzyć, która by zachowała niezależność od nich, powiedzmy, bo dowództwo myślało o dywizjach podporządkowanych oczywiście rządowi londyńskiemu, chociaż taktycznie współdziałających z Rosjanami. Tam ich pozostawiono gdzieś w jakimś domku, niby żeby czekać na rezultaty ostateczne rozmów. No i do domku wtargnęło NKWD, zdziwiło się, że ktoś tutaj w ogóle jest, a wasze dokumenty i tak dalej, prowierki i w ten sposób ich powiedzmy aresztowali, internowali. W tym czasie trwały jeszcze rozmowy między lokalnymi władzami rosyjskimi i pozostałym sztabem. Sztab nasz mieścił się na ulicy Kochanowskiego, nie pamiętam, który to był numer, bodajże 26. I zarządzano tam, zebrania tych powiedzmy oficerów rosyjskich i polskich. Nie wszyscy chcieli chodzić na te spotkania, bo wyraźnie było, wyraźnie przeważała obawa, że zostaną aresztowani. Tak się też stało. W pewnym momencie było umówione ostatnie spotkanie tam w sztabie. Nie zjawił się przedstawiciel władz sowieckich, natomiast wysłał wyllisy, że prosi, żeby przyjechać do ich sztabu na Placu Halickim. Na Placu Halickim był taki pałacyk przylegający do budynku sądu przy ulicy Batorego już tam, przed którym znajdowało się takie jakieś małe targowisko, za parkanem. W tym pałacyku właśnie ten sztab się mieścił. Przewieziono tych oficerów, którzy tam byli wyllisami tam. Jak wchodzili, to już na schodach stali żołnierze sowieccy i widać było, że to są żołnierze nie frontowi, chociaż we frontowych mundurach, bo bardzo, bardzo schludnie ubrani. Dowódca sowiecki zapytał, czy wszyscy są, kazał zameldować jaki jest stan, tak? I w pewnym momencie, stojąc przy biurku wyciągnął dwa pistolety i (nz). A tam obok, pod ścianami siedzieli inni oficerowie sowieccy, więc nikt nie podnosił tych rąk. Oni zrzucili się i zaczęli te ręce podnosić oficerom polskim do góry i tak się to skończyło. Przywieziono ich do więzienia na ulicy Łąckiego, tam były śledztwa.

[3A, 00:20:00]

No nic nie mogli tym ludziom zarzucić. Co mogli im zarzucić? Walkę z Niemcami. W rezultacie zostali internowani. Tak właśnie jak widział pan tą tabakierkę czy jak to, to właśnie z tego obozu w Riazaniu. Oni w Riazaniu zostali internowani. Zresztą o tym bardzo szczegółowo pisał w Tygodniku Powszechnym ten, Polaczek. Przed wyjazdem do Żytomierza, Filipkowski wydał rozkaz w treści rozwiązujący AK we Lwowie, nawołujący do dalszej walki z Niemcami. To był, tutaj on przewyższył swoje kompetencje w pewnym sensie. To nie do jego gestii należało rozwiązywanie tego AK we Lwowie, natomiast powiedzmy, faktycznie to było

dobrze zrobione, bo było przewidywane, że w wypadku nieudanych kontaktów z Rosjanami, we Lwowie działa już taka wtórna konspiracja i część sztabu została pozostawiona do, powiedzmy w tym przyszłym schemacie konspiracyjnym, na czele tej nowej organizacji, która się nazywała „Nie”, Niepodległość, to był odpowiednim WiN właściwie na innych terenach, to tylko właściwie we Lwowie przez pewien czas powiedzmy istniało. Dowódcą obszaru został pułkownik Janson. To był właściwy szef sztabu w sztabie Filipkowskiego, tylko on właśnie został wytypowany do tego drugiego rzutu, a jego funkcje powiedzmy pozorował przed Rosjanami właśnie Pochowski, szefa sztabu. Tam cały szereg oficerów innych, między innymi major Tomaszewski wszedł do tego sztabu i inni, mieli powiedzmy te sprawy rozkręcać w dalszym ciągu. O tym mało kto wie, nawet szersza powiedzmy żołnierze AK nie wiedzieli o tym, co się stało, bo byli nawet zdziwieni, że tutaj był rozkaz o rozwiązaniu, a my w dalszym ciągu działamy. Działaliśmy właśnie pod szyldem już „Nie”. Zresztą Janson nie za bardzo dobrze się zachował, został aresztowany. Był świadkiem oskarżenia na procesie Okulickiego. Okulicki go traktował bardzo powiedzmy, no ja bym powiedział, w sposób właściwy, no ale taki dosyć upokarzający dla...

WK: Pogardliwy?

JG: Tak, tak, pogardliwy, bo powiedział podczas procesu, w odpowiedzi na jego zeznanie, że: *Ja tego człowieka nie znam*. I słuszną postawą, Janson się powoływał, że były jakieś rozmowy w Warszawie, takie rozmowy rzeczywiście były, ale Okulicki się do niego nie przyznawał, tak, że on... To samo dotyczyło zresztą Pacaka-Kuźmierskiego, to samo dotyczyło Hermana, komendanta okręgu stanisławowskiego. Oni wszyscy, powiedzmy, twierdzili to, co Rosjanom było wygodne. Na przykład podawali stany takie, jakich nie mieli nigdy, na rozkaz, prawda? Rosjan. Podawali fakty, powiedzmy, pewnych śmierci nagłych oficerów sowieckich. No były takie wypadki, że gdzieś tam dostał kołem na jakimś weselu, prawda? Tym wiejskim, na tle zupełnie innym, prawda? I oni to przyjmowali na siebie, że oni kazali powiedzmy zastrzelić czy zabić. Rosjanom chodziło o to, żeby wobec świata udowodnić, że oddziały AK działały przeciwko Rosjanom i takich świadków powiedzmy podatnych szukali. Znaleźli niestety w Pacaku, w Jansonie, w Hermanie.

[3A, 00:25:00]

Z innych terenów też, z Wileńszczyzny byli tacy świadkowie. Spotkałem, bodajże to był z Lidy jegomość. Zapomniałem w tej chwili nazwisko. Mazuro, Mazuro, tak. Mazuro, to był jakiś subiekt, który został włączony w ten ruch konspiracyjny wojskowy właściwie w ostatnim czasie, właściwie już w okresie, jak Rosjanie byli na tym terenie. I na rozkaz Rosjan zeznawał, fałszywie zeznawał, że brał udział w rozstrzeliwaniu oficerów sowieckich lub w osłonie takich miejsc, rzekomych rozstrzeliwań. Za to mu dali 10 lat w podarunku. To znaczy nic na tym nie zyskał, bo na przykład Herman i Janson czy Pacak wrócili do kraju po okresie, powiedzmy po procesie Okulickiego, a tamtego głupka powiedzmy zamarynowali w Workucie. Rozmawiałem z nim, czy macie do nas pretensje, do mnie pretensje, że coś takiego zrobiłem, bo zrobiłem coś takiego pod przymusem. No trudno nie mieć pretensji o to do pana. W każdym razie ja to mówię jako dowód na bezwzględne fałszowanie istoty sprawy i powiedzmy zmuszanie ludzi do fałszywych zeznań. Tak. No, ci oficerowie aresztowani z ulicy Kochanowskiego, jak mówiłem, zostali internowani. Wracali później w latach 1947-1948. Tak, że ci, którzy uniknęli tej wyspy na Kochanowskiego, uważali początkowo to za sukces. A później się okazało, że to jest znacznie gorsze, bo w późniejszym czasie dawano wyroki 10 lat i 15 lat i 20 lat i trzeba było to odsiadywać. Oni wychodzili z założenia, że to już była działalność przeciwko nim bezpośrednia i dawali takie wyroki. Na przykład w moim wypadku, ja na przykład bardzo ostrożnie postępowałem. Uważałem, że jestem zabezpieczony, a okazało się, że jednak łączniczka moja, poprzednia łączniczka Jasia była na ich usługach. Więc sprawa Jasia. Jasio sprawował funkcję komendanta rejonu pierwszego, dzielnicy Zachód, gdzieś do drugiej połowy grudnia. Zaczęły się nagonki, próbowali go aresztować. Uciekł zręcznie dosyć i już nie miał możliwości sprawowania tej funkcji. Ja wszedłem na tę funkcję. On był nieczynny. Przejąłem od niego właśnie łączniczkę, tą, nie pamiętam jej nazwiska, pseudonim był, zaraz, jak żesz ona miała na pseudonim...

[00:00:00] Gardynik_Jerzy_AW_I_0181_3B

JG: Aha, Józefa, Józefa, pseudonim „Józefa”. W jakiś sposób była zahaczona przez kontrwywiad i myślę, że aresztowanie Jasia było też związane z jej tymi kontaktami z kontrwywiadem. Z tym, że ona była osobiście zbliżona do niego, była bardzo bliską jemu osobą i doprowadziła do tego, że jego wypuszczono z kontrrazwiedki, ale to były wypadki, no wychodzi z kontrrazwiedki, no to jest taka rzecz dosyć, dosyć no dziwna co najmniej. To bardzo dzielny człowiek. Ja ją miałem za bardzo dzielną niewiastę, no ale w pewnych momentach charaktery zawodzą. Tak, że on został w późniejszym czasie, nie pamiętam kiedy, bodajże już

w drugiej połowie stycznia albo w początku lutego aresztowany, a ja z kolei za nim. Był taki wypadek, pewnej naiwności mojej. Zostałem zatrzymany przez NKWD, nie NKWD, bo to wtedy już się nazywało MWD, to ogólne, ogólne to miejskie, które miało swoją siedzibę na Placu Smolki. Przyjechali po mnie do pracy i wzięli mnie. Z tym, że ja akuratnie w momencie, kiedy oni mnie zatrzymali, to znaczy jakiś czas przed tym otrzymałem meldunki. Takie, przeważnie to były jakieś operacyjne, nawet wywiadowcze i miałem to w kieszonce. I oni mnie z tym brali. Ja myślałem cały czas jak się tego pozbyć. Przyjechali po mnie Studebakerem, posadzili mnie do budki, obok kierowcy a konwój stał na pace, tylko tam powiedzmy tą broń trzymał w pogotowiu. Oni jeździli jak szatany. Na skrzyżowaniu ulic, on nagle wyjechał kierowca, musiał zwrócić uwagę na to, co się dzieje na ulicy, ja w tym momencie wymanewrowałem z kieszonki te meldunki do rękawic, do rękawicy. No i cały czas mnie to gnębiło, co zrobić. Prowadzili mnie na ostatnie piętro tego gmachu. To był gmach starostwa miejskiego przed wojną, na Placu Smolki. I w pewnym momencie olśnienie, ja widzę na półpiętrze jakieś, któryś z tych bydlaków chyba kopnął kosz ze śmieciami i całe to półpiętro było zasłane śmieciami. Ja wtedy z wolnieniem kroku i oni tak się znaleźli na jakieś pół kroku przede mną i ja wtedy to nieznacznie wyrzuciłem w te śmieci. Już tam powiedzmy nie moje, i w śmieciach z pewnością nie znajdą i w tym momencie on się odwraca, jak ja już wyrzuciłem: *No dawaj, dawaj*. Podeszedłem do tego, wszedłem do tego gabinetu jakiegoś majora, major był bardzo zdziwiony kogo oni tutaj przyprowadzili i na co. *Wypuście go z powrotem*. No dziwna rzecz. *Wracajcie, idźcie do pracy*. Więc nawet była taka rzecz, że wartownik, to była kobieta na dole, jak ci, którzy mnie wzięli, sprowadzali mnie, żeby mnie wypuścić na rozkaz tego majora, ona nie chciała wypuścić. Dopiero major musiał wchodzić, przyjść i powiedzmy swoim autorytetem zadziałać, ale ona żądała, żeby jej na piśmie to dać. I później okazało się, ja poszedłem rzeczywiście do pracy, patrzę się, nikt za mną nie idzie, tylko się pytam portiera, który był swoim człowiekiem, co się dzieje. Mówi: *U dyrektora są jacyś oficerowie*. No to proszę pana, mnie nie było tutaj i koniec.

[3B, 00:05:00]

Przypuszczam, że to była konkurencja. Pierwszy raz się z tym zetknąłem i później można było na tym grać, bo okazało się później, że oprócz tego miejskiego MGB, za mną jeszcze chodziło kolejowe MGB, bo ja pracowałem w szpitalu kolejowym w tym czasie jako kierownik gospodarczy, na ulicy Krasickich. I oprócz tego kontrrazwiedka, tam gdzie Jasiu siedział. Nie wiem, którzy panowie byli tam z kolei. Więc ja po tym wszystkim zaległem na melinie i nie

było mnie tam chyba z 20 dni. Przy czym obserwowałem, powiedzmy, i obserwowali inni, nic w pracy się nie działo, nic w domu się nie działo. Nie było jakiegoś żadnego śladu, żeby powiedzmy jakaś była, jakaś specjalna inwigilacja, poszukiwanie. No martwota. Ja postarałem się o zaświadczenie lekarskie, że byłem chory i wróciłem do pracy. To duża naiwność. Ja uważałem, że nie można opuszczać terenu, że najgorszą rzeczą jest opuszczanie terenu. Rezultat był taki, że w jakiś czas po tym, porucznik, starszy lejtnant, jak on się nazywał, Semeniak, to był Ukrainiec sowiecki, opiekun z ramienia MWD nad naszą instytucją. Ode mnie czasem coś wypraszał, jako od kierownika gospodarczego, to coś jemu trzeba było z magazynu dać, to mu się dawało powiedzmy na odczepnego. I ja wychodzę do miasta coś załatwić, on mówi: *Idziesz do miasta? Ja też, to razem pójdziemy*. Jak już jesteśmy przy wyjściu i ja słyszę, a on odbezpiecza pistolet w kieszeni. Wychodzimy kilka kroków dalej, a tam stoi już żołnierz z automatem. Więzienie kolejowe MWD miało wspólne podwórze z naszym szpitalem, te bloki w oficynach były już, należały do MWD. No i w tamtą bramę, nawet nikt nie zauważył, że mnie aresztowano, bo Semeniak się tam kręcił i bardzo często był. To nie wywoływało żadnego zdziwienia. No i zaczęło się. Ostatecznie, oni nie wiedzieli co ze mną zrobić, bo ja byłem sam jeden. A oni kochali grupy. Robili rewizję u mnie w domu, już podczas mojej nieobecności, jak ja siedziałem u nich. I w tym akcie rewizji znalazło się stwierdzenie, że znaleziono u mnie broń, automat sowiecki, PPSz. To absolutnie prawdzie nie odpowiadało, to była gdzieś broń wykombinowana, gdzieś może od jakiegoś banderowca wzięli i podłożyli, prawda? Tutaj. Temu oczywiście zaprzeczałem, żeby u mnie była jakakolwiek broń. Wobec tego oni namówili jednego z sierżantów, zmusili jednego z sierżantów. Jego nazwisko Jokiel, sierżant z czwartego rejonu tej samej dzielnicy. Ja nie miałem z nimi żadnego kontaktu i nie znałem go. Zresztą typ nieciekawych, bo miał sprawę karną w sądzie wojskowym AK, za kradzież broni. Po prostu kradł z magazynów AK-owskich broń i sprzedawał AK drugi raz, taki kombinator. Więc typ nieciekawych. Ja mówię dlatego, żeby scharakteryzować tą postać. I ten bezczelnie powiedział na ich rozkaz, że tak, że on ze mną współdziałał w jakichś tam akcjach, już nie pamiętam jakie to, przeciwko Rosjanom.

[3B, 00:10:00]

No i te dwie rzeczy, podłożona broń i jego zeznanie, mimo oprotestowania mega i w czasie śledztwa i w czasie tak zwanego procesu, były podstawą do skazania mnie. Ja dostałem wtedy wyrok 10-letni, 10 lat pobytu w obozach i 5 lat pozbawienia praw obywatelskich, co mnie najmniej martwiło. I w sposób sztuczny włączono mnie, jako głównego oskarżonego, do grupy

tych aresztowanych z rejonu czwartego. W tej grupie był starszy wachmistrz piątego palu Budzyk, student weterynarii Pruziński no i ten nieszczęsny Jekiel. Jekiel był dowódcą plutonu, Pruziński był oficerem informacyjnym rejonu, a Budzyk był w tym pionie „Nie” komendantem czwartego rejonu. Wtedy już oficerów nie za dużo było, podoficerowie sprawowali tę funkcję. Po tym wyroku, nas całą tą grupę przesłano pod konwojem na ulicę Pełtewną, do byłego getta. Tam były takie domy magistrackie dla bezrobotnych czy powiedzmy dla tych wysiedlonych z jakichś mieszkań. To były takie magistrackie domy, tej pomocy, jakieś społecznej i tam urządzono ten właśnie obóz przejściowy, ten obóz przesyłowy. No i pierwsza rzecz, którą zrobiono, przychodzimy do tego obozu, w dosyć dużej grupie. Grupę przyjęto do obozu, a nas, to znaczy całą naszą grupę: mnie, Budzyka, tego Jekiel i Pruzińskiego wsadzono za dodatkowe druty. Takie więzienie w więzieniu, no i tam było jeszcze kilku banderowców. Dziwimy się wszystko, co to jest. Podchodzi na drugi dzień do nas jakaś, pod druty jakaś pani i wywołuje moje nazwisko. Nawiasem mówiąc, nas wsadzili za druty i trzymali pod gołym niebem, nie pod dachem, a pod gołym niebem. Spaliśmy po prostu na ziemi. I pyta się: *Proszę pana, dlaczego pan ma takie papiery?* Ja mówię: *Jakie papiery? Nic nie wiem. Ma pan teczkę taką z takim pasem szczególnym dosyć rzadko się spotyka, osoby (nz).* I z adnotacją: Wysłać natychmiast na daleki etap. Ja myślę, że to była zemsta śledczych za trudności, jakie powiedzmy mieli ze mną w czasie śledztwa. Im chodziło właśnie o to stworzenie grupy. Nie mogli stworzyć i poszli na takie pomysły, jak panu mówiłem, z tym. I ta pani mówi: *Proszę pana...* Ja jej mówię o tym wszystkim, jak to wszystko, jak to wszystko przebiegało. *My będziemy się starali, żeby panu pomóc. Wyjdzie pan stąd i przejdzie pan do jakiejś brygady roboczej w tym obozie i będziemy pana bronić przed etapami.* Okazuje się, że tam istniała komórka konspiracyjna w tym. Ta pani, to była lekarz, jakiś. I mówi: *Tylko, że trzeba będzie, żeby pan współdziałał w tym sensie, żeby rodzina przysyłała mleko sterylne.* To mleko sterylne załatwiało sprawę tej osłony, ochrony przed dalekimi etapami. W kancelarii tej obozowej specjalnie sierżant jakiś siedział.

[3B, 00:15:00]

Bardzo sympatyczny pan, on nad tym czuwał wszystkim. On właśnie wyciągnął te moje dokumenty, spenetrował i on zawsze wiedział kto ma jechać na etap. On zawsze uprzedzał i wtedy ja dostawałem zastrzyk sterylne mleka, dostawało się dużej gorączki, szło się do szpitala a w międzyczasie etap odchodził. Tylko to musiało być zgrane w czasie. To znaczy, wiadomo, że etap będzie odchodził tego a tego dnia, o tej i o tej godzinie, żeby to działanie

powiedzmy tego mleka obliczyć tak, żeby w tym czasie nie było przesunięcia powrotnego. No i tak mnie uratowało to, pamiętam był etap jakiś na Kołymę miałem jechać czy jeszcze powiedzmy do innych obozów syberyjskich. Jakoś powiedzmy mi się to upiekło. Natomiast w pewnym momencie jest sygnał, że jadę, mam jechać na etap do Workuty i okazuje się, że nie ma zapasów mleka. Kogoś tam ratowali jeszcze, powiedzmy tam był cały bank tego mleka i zabrakło. I mówią mi wtedy, że: *Będzie pan musiał zagrać komedię. Pójdzie pan na etap, na blok etapowy, do baraku etapowego. Natomiast naszą rzeczą jest to, żeby pan poszedł w ostatniej partii do kąpieli.* Bo przed etapem oni urządzali powiedzmy tą kąpiel, postrzygli, tam wszystkie powiedzmy takie rzeczy były obowiązkowe. *A tam będą nasi ludzie już czekali z noszami, a pan ma zemdleć.* No i ja jakoś, że słabym artystą jestem, no patrzę, a chłopcy już mi pokazują: *Padaj, padaj.* Jakoś tam upadłem: *O, zemdlął, zemdlął.* Od razu mnie na nosze i do szpitala. Rzecz polegała na czym? To jest wieczór, to się dzieje wieczór przed wyjściem etapu na drugi dzień, z rana, z samego rana. I mnie wysyłają do szpitala, lekarza NKWD-isty już nie ma i nie będzie go z pewnością przed odejściem etapu. To znaczy etap odejdzie beze mnie. No i zgubił mnie bałagan sowiecki, bo okazuje się, że kolej w tym czasie nie podstawiała wagonów, czy czegoś tam brakowało w tych wagonach, jakichś krat albo jakichś drutów czy coś takiego i etap został przesunięty o jeden dzień. I to wystarczy, żeby przyszedł lekarz NKWD-ista i stwierdził, że nie, z powrotem. I pojechałem. Pojechałem, no podróż trwała gdzieś około 3 tygodni. Jechaliśmy tutaj przez Wołyń, przez Orzeł, na tą obwodnicę moskiewską, później przez Mołotow, gdzieś, ja pamiętam, Jarosław, Mołotow. Po drodze wysadzano więźniów pospolitych. Aha, i to było też moje szczęście, bo ja tam będąc w obozie przesyłkowym we Lwowie, zadarłem z Urkami, z tymi złodziejami. Oni próbowali po prostu mnie rabować, a ja się nie poddałem temu. Oni mówili: *Czekaj, jak pojedziemy na etap, to my się na tobie odegramy.* A nawet powiedzmy niektórzy z tej grupy Pruziński mi radzili, że: *Nie przeciwstawiaj się im, bo to jest element, który potrafi się zemścić.* Ja jednak nie dawałem się terroryzować i to było powiedzmy, to mogło się okazać groźne, gdybyśmy razem jechali w jednym wagonie. Przestępcy pospolici i polityczni. Na szczęście to było rozdzielone. Nas najdalej wieziono, a ich po drodze wysadzano. Wyjechaliśmy ze Lwowa, był upał. Przyjechaliśmy do Workuty, była zima.

[3B, 00:20:00]

Jadąc tam po drodze, to już powiedzmy, to już zimno nas powiedzmy na ostatnim tych, w ostatnich dniach podróży, to doskwierało niesamowicie, mróz. To nawet mijaliśmy już obozy,

tam gdzieś powiedzmy w tajdze, jeszcze przed Workutą. Pamiętam te światła obozowe, to się wydawało, że to jest coś takiego przytulnego, takiego domowego, żeby jak najszybciej się znaleźć powiedzmy w takim jakimś ciepłym baraku. Pamiętam, wyładowano nas w rejonie dworca tego głównego w Workucie i przeprowadzono pieszo. Segregowano ludzi też, do rozmaitych obozów. Nas poprowadzono pieszo przez most wąskotorowy. Pamiętam to przejście. To było, że tak powiem, nielegalne przejście przez ten most wąskotorowy, śnieg, oblodzenie. Most nie był niczym zabezpieczony, wąski właśnie i na tych belkowaniach, trzeba było z belki na belkę skakać, było to oblodzenie i dosyć takie ostre te sterty zbitego śniegu na tych podkładach. Jak ja to przeszedłem, nie wiem. Nikt nie wpadł, ale jeszcze był pośpiech, bo zjawił się pociąg z tyłu, prawda? I ci jeszcze psami szczuli za nami. Jakoś przeszliśmy to. Przeszliśmy do obozu, na szczęście, później się okazało, że to był najstarszy obóz w Workucie. To miało duże znaczenie. To był obóz, który miał rozmaite już urządzenia, rozmaite służby, rozmaite możliwości, bo były obozy nowe, to można było wpaść tam na przykład, nie do baraku, a do namiotów. A tam nie było namiotów, tam były baraki, ciepłe baraki. Tam trzeba powiedzieć, że zawsze w baraku było ciepło, bo czego jak czego, ale węgla oni nie żalowali. Jaki to był węgiel, kiepski węgiel, ale nie żalowali go. I oczywiście dostałem się na ogólne prace, ponieważ nosiłem okulary, oni mieli jednak swoje przepisy, że w okularach nie wolno pracować w kopalni. To mnie chroniło przed kopalnią, ale nie chroniło mnie przed ciężką robotą. Dano mnie do brygady jakiejś kolejowej, do noszenia szyn. Te szyny, ciężka praca i ciężkie myśli i wszystko to doprowadziło w krótkim czasie, po 3 miesiącach bodajże ja już miałem, byłem w takim stanie, że wiatr mną kołysał jak chciał, a waga moja spadła do 40 kilku kilogramów, 44 bodajże. Nie byliśmy jeszcze dostosowani do życia obozowego. Ze Lwowa ja byłem jeden w tym obozie. Dużo było Wilnian. Też nie byli specjalnie dobrze urządzeni. Ja nie miałem żadnej takiej specjalności, która by się nadawała do życia obozowego. Pracując u Weigla, no byłem tym laborantem, prawda? Ale to była zupełnie specyficzna rzecz i niepasująca do tamtych możliwości. Pamiętam, był z Wilna znany w Wilnie doktor bakteriolog Łapiński. I ten robił cuda, żeby mnie urządzić właśnie w instytucji. To się nazywało (nz), laboratorium sanitarno-bakteriologiczne. Z tym, że rosyjski dyrektor porozmawiał ze mną i nie chciał mnie, po prostu to mój profil jemu nie pasował. Oni zajmowali się jakimś badaniem żywności, a ja z tym nic nie miałem wspólnego. Doktor Łapiński próbował mnie troszeczkę pouczać czy coś takiego, nie? Ale on się sprzeciwił temu. I proszę pana, zrozumiałem, że muszę coś zrobić dla siebie.

[3B, 00:25:00]

Bo jeżeli będę pracował w dalszym ciągu powiedzmy tak ciężko i te czarne myśli jak mnie będą tak dobijać, jak nie dobijały, to jest powiedzmy, ja lekko przejdę tą granicę na drugą stronę. Jeden miałem plus, znałem język rosyjski i to już dosyć dobrze. Jakoś tak się zdarzyło, matka, jak mówiłem panu, znała dobrze rosyjski język. Wobec braku gazet w języku polskim, oni mieli ograniczone nakłady, to się zawsze rozchodziło, kupowała rosyjskie gazety. Ja przy niej jakoś powiedzmy się troszeczkę nauczyłem, a ugruntowali mi to Rosjanie, bo chcieli mnie wziąć do wojska, do czerwonej armii. Brali powiedzmy prawem kaduka. I przygotowywali bardzo solidnie. Między innymi były kursy języka rosyjskiego, bodajże 3- albo 4-miesięczne. Dosyć solidnie mnie podbudowali. Ja wiem, że jeszcze tą znajomość sobie pogłębiłem przez to, że zacząłem czytać książki po rosyjsku. Pierwszą książkę to czytałem chyba z 3 miesiące, ale przełamałem to i to mi później obfitowało w tym, że jednak przetrwałem ten obóz. W tym obozie, to był obóz kopalni ósmej, Rudnik, osiedle Rudnik. Najstarsza kopalnia jak mówiłem, na Workucie, wybudowana jeszcze w 30. latach, w początku 30 lat. Właściwie nie kopalnia, a opadowa. To nie była kopalnia szybowa, tylko się powiedzmy ten i to takie maleńkie kopalnie, technicznie bardzo słabo postawione, z wydobyciem mniejszym niż powiedzmy nasz oddział daje. Coś takiego, oni mieli powiedzmy ten swój przemysł górniczy, no dosyć prymitywny. Mieli formalnie bardzo dużo kopalń, ale to były małe kopalnie. Pamiętam, jeszcze wtedy konie były w kopalni, jeszcze tam powiedzmy prymitywne, niesamowicie to było. Na przykład szyn nie mieli w kopalniach, tylko to były obrzynki, jakieś drzewa, obijane taśmą walcowaną. I po tym wagony jeździły.

WK: Panie Jurku, czy z punktu widzenia ekonomii te kopalnie workuckie miały sens?

JG: Nie, absolutnie nie. Te kopalnie były budowane z punktu widzenia powiedzmy potrzeb wojennych, ewentualnie. I powiedzmy, to się sprawdziło w czasie tej wojny, bo przecież Donbas Niemcy im zajęli i wtedy oni mieli jedyne zagłębienie węgla koksowego w europejskiej części, to właśnie workuckie, bo było podmoskiewskie, ale to był węgiel energetyczny, a tam były węgle energetyczne, ale węgle koksowe też. A mimo, powiedzmy taniej siły roboczej, to się w ich rozrachunku to się z pewnością nie opłacało. Przede wszystkim duże drogi transportu, okresy powiedzmy zanikania tego transportu.

[00:00:00] Gardynik_Jerzy_AW_I_0181_4A

JG: Okresy powiedzmy zanikania tego transportu, bo jak ruszała na przykład kora na Workucie, to trzeba było demontować mosty. Mosty były drewniane, czyli takie, że w razie czego to one spływały razem z krą. I wtedy na składach tych węgiel ten się palił. On był dosyć zasiarczony, przynajmniej ten energetyczny, przede wszystkim energetyczny. Te hałdy ciągle dymiły, ciągle się paliły. Oni w sposób bezczelny powiedzmy ładowali ten węgiel nieraz na wagony, no to bywały takie wypadki, że wagony się paliły już na trasie, razem z tym węglem. No, ale to prawem jakiegoś, prawem, prawem, każdym innym, ale nie ekonomicznym istniało. Zresztą, powiedzmy, proszę sobie wyobrazić, że żeby przewieźć ten węgiel tysiącami kilometrów do centrum Rosji, to trzeba było solidną ilość tych wagonów, prawda? Węgla zużyć.

WK: Panie Jurku, dlatego się pytam, bo przecież to zagłębie nadal jest czynne i nadal tam jakieś tam wydobywanie przecież istnieje. Duże miasto, Workuta jest dużym miastem. Dodatki północne, przecież też podrażają to.

JG: Tak, tak, z pewnością, ale proszę pamiętać o tym, że dodatek północny to obowiązuje tych, którzy nie siedzą za drutami. A ci za drutami to pracują zupełnie za darmo, ale mimo wszystko wiem, że rozliczenia takie między przemysłem węglowym a NKWD czy MWD były na zasadzie zupełnie, powiedzmy jakiejś pseudoekonomicznej. Oni się rozliczali ze wszystkiego. Właściwie, były takie stawki, jak przy pracy wolnych. Z tym, że powiedzmy potracano te koszty utrzymania powiedzmy więźniów przez, z tych zarobków niby w kopalni. No, właściwie więzień musiał zarobić na tą ochronę, na tą straż, na te druty, na wszystko. Na to, że mieszkał gdzieś w jakimś baraku. To wszystko mu, powiedzmy to wchodziło w jakąś kalkulację karkołomną. Tak, że faktyczna powiedzmy praca niewolnicza wobec przemysłu węglowego była przez NKWD rozliczana bardzo drogo, powiedzmy bardzo powiedzmy korzystnie dla NKWD.

WK: Panie Jurku, każda praca niewolnicza w skutku swoim ekonomicznym jest bardzo droga i mało wydajna. Przecież to jest mała wydajność.

JG: Mało wydajna, tak, wydajność była mała.

WK: Czyli w rezultacie, ona mimo wszystko była droga.

JG: Tak, tak, tak. Więc tam były rozmaite okresy. Były okresy takie, że te kopalnie należały do NKWD, ale były takie okresy, że te kopalnie należały do Ministerstwa Przemysłu Węglowego. I tam, w zależności od tego były rozmaite rozliczenia. Ja wiem, że właśnie w pierwszych latach pobytu, myśmy dostawali z tego, co jakieś rozliczenia, około 30-40 rubli. Ja wiem, że pamiętam, że za to można było kupić porcję chleba. Za to, co nam płacili, porcję chleba na czarnym rynku oczywiście obozowym. I co mnie uratowało, to że chodziłem, ruszałem się, szukałem jakichś możliwości. Była tam komórka, która się nazywała tak dosyć powiedzmy uroczyście: „Kombinat szkoleniowy”. W Workucie brakowało specjalistów. Oni mieli taką swoją koncepcję szkolenia tak zwanych *otcwiennikow*, ludzi odpowiedzialnych. To znaczy ludzie z wykształceniem co najmniej średnim, według ich kryteriów.

[4A, 00:05:00]

Zostali przekazywani do tego kombinatu, do tego kombinatu szkoleniowego i po kursach fachowych otrzymywali prawo zatrudnienia w jakimś tam pionie technicznym i prawo odpowiedzialności. To znaczy w razie czego, to dostajesz nowy wyrok, jeżeli coś nie tak. Oni starali się oczywiście, żeby tam więźniów politycznych nie dopuszczać, ale praktycznie to było niewykonalne, dlatego, że złodziejaskowie nie chcieli pracować. A poza tym to był element bardzo prymitywny i powiedzmy, w gruncie rzeczy...

WK: Nieodpowiedzialny.

JG: Nieodpowiedzialny i analfabeci bardzo często. Zapomniałem panu jeszcze o czymś powiedzieć. W tym momencie, kiedy zacząłem się starać o powiedzmy wyjście ze swojej sytuacji, przez ten kombinat, pracowałem już jako zupełny powiedzmy taki, jak oni nazywali *fitil*, jako taki jak mówili w Oświęcimiu „faraon”, prawda? W brygadzie, która była przedsionkiem śmierci. To była tak zwana *sniego (nz)*, walka ze śniegiem. To wiadomo, że tam odchodził najgorszy powiedzmy element pod względem fizycznym. No i...

WK: To znaczy tak zwane obszcze roboty? To to?

JG: To obszcze roboty tak, z tym, że to były powiedzmy, to właśnie do tych brygad dawali tych, tych *dochodiak*, tych inwalidów już właściwie, takich już bezużytecznych, żeby jeszcze z nich coś wycisnąć przed tym zanim umrą. I znalazłem się w takiej brygadzie. Brygadierem

był urka, złodziej. Nie pamiętam jego nazwiska. Pamiętam jego pseudonim „Kliczka” jak oni nazywali, bo każdy z Urek miał swój taki pseudonim. I on miał „Kliczkę”, ten pseudonim „Czuma”. „Czuma” to było troszeczkę taki pogardliwy pseudonim. To znaczy taki w zrozumieniu człowiek, no niby troszeczkę zwariowany, niby niepoważny, w ogóle taki...

WK: Odstrzeleniec może?

JG: Odstrzeleniec, coś takiego, najlepiej tak powiedzieć, „Czuma”. I ten „Czuma” był człowiekiem bardzo sprytnym, natomiast kompletnym analfabetą. Podpisywał się trzema krzyżykami. I tak zwrócił na mnie uwagę i mówi: *Ty gramotny*. Ja mówię: *Tak. A czy potrafisz raporty napisać?* No i kazał mi te raporty pisać. Ja mówię, że piszę. No to jak ja pisałem? Ja byłem już w takim stopniu zniszczenia, że ręka mnie się nie słuchała. Jak ktoś patrzył na mój charakter pisma wówczas, to wątpił, czy ja do szkoły chodziłem, bo ja chciałem pisać litery, ciągnąć we właściwym kierunku, a nagle ręka mi drgała w tym kierunku albo w innym kierunku i te litery były zniekształcone. Więc to było przejawem pewnego wyniszczenia fizycznego już. No, ale pisałem te raporty. Raporty pełne powiedzmy, no jakiejś falsyfikacji.

WK: Wspaniałych wyników pracy?

JG: Wspaniałych wyników, tej ilości śniegu to chyba na Workucie nie było, ile było w tych raportach. To szła walka o to, żeby to nie był najniższy kocioł, żeby to było o 100 gramów chleba więcej, prawda? No więc ja się tam popisywałem tymi fałszerstwami. Zresztą uważam, że w tej sytuacji to była jedyna moralna rzecz, przy tym wyzysku. No, ale to mnie nie zwalniało od ogólnych obowiązków, że ja musiałem iść z łopatą razem z brygadą. Dopiero jak przychodziłem do baraku, to przy tych koptilkach gdzieś tam powiedzmy pisałem te raporty jeszcze wieczorem.

[4A, 00:10:00]

Ale to mi dawało prawo, no jakiejś pewności wobec brygadiera, który już mnie nie tykał, prawda? Jak ja stałem oparty o łopatę i nie pracowałem, to jakoś patrzył przez palce na to i to było jedynym plusem. Pamiętam wtedy był bałagan albo nawet nadużycia takie, że od czasu do czasu taki więzień był no zawiadamiano go, że jest w oknie. W oknie to się nazywało, to znaczy nie ma wyżywienia na ciebie na dzisiaj. Po prostu kombinacje. Ktoś sobie tam z tych

urzędników po kole powiedzmy do tego okna wsadzał, jak to się mówiło, czy drugiego, a te talony brał dla siebie. Byli ludzie, byli bezsilni wobec takich wybryków. Ja pamiętam, co to jest, jaką to jest męczarnią w obozie, wycieńczony, pozbawiony wyżywienia przez cały dzień. To była, to jest rzecz, którą się pamięta. I trzeba powiedzieć, że ja właściwie przez 8 lat byłem głodny tam. Przez 8 lat ten głód odczuwałem. Oczywiście, normy wyżywienia były bardzo niskie, ale oprócz tego, z tego co otrzymywał, co powinien był otrzymywać więzień, kradziono na rzecz tych właśnie Urków, rozmaitych kombinatorów. I stąd powiedzmy, te przyspieszone wyniszczenia organizmu tych ludzi, którzy nie umieli sobie poradzić. O psychozie głodu, to jeszcze powiem, bo to też jest powiedzmy rzecz, której już pracowałem później na, w laboratorium w pracy powiedzmy, przy pracy biurowej, ale powiedzmy ta psychoza głodu zostawała. Przykładowo...

WK: Czy po powrocie też była ta psychoza przez pewien czas?

JG: Nie, nie. Już proszę pana, ostatnie dwa lata jak zachorowałem, nie czułem głodu i to odeszło. A tam się wyrażało to przede wszystkim ciągłymi myślami o tym, żeby coś, z koncentracją uwagi, żeby jeszcze coś zjeść. Oczekiwaniem na powiedzmy pory karmienia. Niemożliwością odmówienia sobie na przykład, żeby nie zjeść całej porcji chleba od razu. Żeby zostawić powiedzmy na wieczór czy coś takiego. Jak się zostawiało, to jednak w międzyczasie się to wyskubało i zjadło przecież. A taka rzecz, która mi utkwiała specjalnie. Już będąc później w baraku tak zwanych *prydułków*, to znaczy ludzi pracujących na lekkich pracach biurowych, kancelaryjnych, wśród Rosjan oni otrzymywali paczki. Byli lepiej zaopatrzeni, wskutek tego lepiej mogli się urządzać. Nie byli głodni i widząc to, że ja jestem głodny, dawali mi wybór, jak przynoszono chleb. Żeby wziąć pierwszy tą swoją porcję. To zawsze polegało na tym, że tak aha, żeby się nie oszukać, żeby to była największa porcja. I brał pan w swoim przekonaniu największą porcję.

WK: Psychicznie to pomagało chyba?

JG: Tak, psychicznie troszeczkę pomagało, ale co? Zaraz po tym, no przecież jak ja się naciąłem. Przecież to nie była największa, największa była tamta. Tego nie można było, i pamiętam był taki sąsiad mój, Rosjanin Gusakow, zresztą rodzinę miał we Lwowie. Często rozmawialiśmy na temat Lwowa i on to bardzo dobrze rozumiał i mówił: Czto Jurij Michajłowicz? Oni mnie tak na tym, po rosyjsku tytułowali, *eta była (nz)*. Tak się śmiał.

WK: Z innych relacji wiem, że nieustającym tematem rozmów były przepisy kulinarne i co się kiedyś zjadło?

[4A, 00:15:00]

JG: Tak. I marzenia. Ja na przykład marzyłem o tym, że jak wrócę do Polski, będę w dobrych warunkach, to będę miał spiżarnię. I widziałem tam te szynki wiszące, kiełbasy, wory powiedzmy jakichś kaszy czy grochu czy fasoli. To ciągle do tych marzeń się wracało. Wiem, że jakiś czas miałem możliwość pracy w kuchni. To znaczy nie etatowy pracownik, do mycia kotłów. Zapłatą było to, co zostało w kotle. I jeden z kucharzy, widząc mój stan, rozsądnie mówił: *Słuchaj, nie jedz tej kaszy. Ja ci dam bulionu, wiesz? Ty jesteś wycieńczony, ty kilka dni musisz bulion pić, nic więcej.* No bulion, dla mnie to była woda, a kasza to jest konkret, czy nawet groch wtedy dawali się. Ja nie zgodziłem się na to. Rezultat był taki, że jak sobie powiedzmy wyskrobałem z tych kotłów, to później miałem sensacje żołądkowe powiedzmy przez kilka dni, nie odczuwałem głodu. On miał rację. Trzeba było bulion, od bulionu zacząć, a później kaszę jeść czy groch. No, ale dostać się powiedzmy na taką pracę, to też było powiedzmy jakaś możliwość, jakichś chodów. Akuratnie w tym czasie byłem już na tych kursach, miałem... Na tych kursach, będąc w tej jak gdyby bursie obozowej wtedy, poznałem kucharzy, którzy tam mieszkali w tak zwanych kabinkach. To były uprzywilejowane takie pozycje w obozie, że niektórzy powiedzmy znacząco w obozie nie mieszkali w baraku, tylko powiedzmy w takiej kajutce po dwóch, trzech ludzi. I ten właśnie kucharz to był jakiś znany działacz komunistyczny z Jugosławii. Ktoś z komitetu właśnie jugosłowiańskiego partii komunistycznej został...

WK: Czyli z KOMINETERN-u, inaczej mówiąc?

JG: Tak, tak. I on został tam powiedzmy wsadzony za jakieś tam sprawy, powiedzmy jakieś niedociągnięcia. Jakieś pretensje mieli do niego, wsadzili go tam, ale on mi zrobił tą protekcję właśnie, że dostałem tą posadę w kuchni, pozaetatową. To mi pomogło, po pewnej jednak w sumie, mi pomogło. Jakiś długi czas tam powiedzmy z tego korzystałem. Później miałem takie możliwości, już pracując w zarządzie geologicznym, miałem papier. To był wielki atut. Miałem papier, to znaczy mogłem ukraść papier, tak trzeba to powiedzieć. I tym kradzionym papierem, mając papier, mogłem zgłosić się do kuchni, że ja im wypiszę spis żywienia na dany dzień.

To na tablicy zawsze było ogłaszane, w stołówce i wypisywałem te menu, jak oni to nazywali. To rozmaite kotły były, prawda? Gradacje, ten najgorszy dla tych, a tam bodajże 6 kotłów wtedy było. A ten szósty to już były wspaniałości. Tam były proszę pana.

WK: Nawet 7.

JG: Albo 7, nie pamiętam, to się zmieniało. W każdym razie, za to dostawałem wyżywienie takie, jaki miał ten (nz) dozór górniczy. To już były kotleciki, bułeczki, słodkie i takie pierożki nadziewane mięsem. Pamiętam, że kręcili się po kuchni często czekał. Niby pod pozorem kontrolowania czegoś, a w gruncie rzeczy to byli bardzo głodni ludzie. Ci powiedzmy szeregowi żołnierze tej tak zwanej (nz), ochrony. Ci, którzy nas pilnowali na tych wieżach, tych strażniczych, którzy nas prowadzali na prace, którzy nami zarządzili w obozie. Widać było na przykład jak ja spożywałem te uprzywilejowane powiedzmy potrawy, jakim łakomym wzrokiem, oni głodnym wzrokiem patrzyli na to. I właśnie to jest moment bardzo charakterystyczny, jak potrafili w tym systemie zmusić ludzi głodnych do pilnowania innych głodnych.

[4A, 00:20:00]

Bo jakby nie było w obozie, w obozie to były zawsze gwarantowane te porcje. A oni nie mieli tej takiej gwarancji. Oni musieli powiedzmy to jakoś zdobywać. Oni dostawali, oni byli na zasadzie wynajmu, to znaczy pensję otrzymywali i z tego mieli się utrzymywać. Co nie było łatwe, przynajmniej w pewnych okresach czasu. Przynajmniej w okresie po zakończeniu wojny, kiedy Amerykanie przestali dawać papu już. Aha, jeszcze, jeżeli jestem przy zmyślności więźniów, w sensie wyżywienia, zdobywania wyżywienia. Gdyśmy tam przyjechali, wyżywienie było bardzo kiepskie. Ja pamiętam, że dawano przeważnie zupę ze śledzia, to nie ze śledzia. To przesada, z głów śledzia. Tak, że to była jakaś taka, taki płyn koloru dokładnie jak by się zmyło bardzo brudną podłogę. Tylko ten płyn śmierdzał i w tym pływały powiedzmy te główki śledzi i oczy śledzi czy coś takiego. I to trzeba było jeść, a na drugie danie był kotlecik ze śledzia, tego samego. Trzeba przyznać, że, trzeba powiedzieć wyraźnie, że te śledzie były nadpsute. I oni ratowali to jakimiś chemikaliami, sypali do tych beczek. Te chemikalia jeszcze przez to przebiegały. Do tego dochodziła łyżka kaszy, rzucone takiej rzadkiej i to był obiad. No, co można było na takim wyżywieniu uzyskać z tego robotnika? Oczywiście, markowało się pracę wszelkimi sposobami. Tak, że jedynym, właściwie podstawowym pożywieniem był ten

chleb. Chleb oczywiście ciężki, umieli piec to tak, że on zawierał pokaźną ilość wody. I te powiedzmy, ta powiedzmy ilość, waga nie odpowiadała rzeczywistej wartości chleba normalnego o tej wadze. Tak, żeby wyczerpać te sprawy żywnościowe. Aha, polepszyło się w ostatnich latach, kiedy zaczęto płacić. Właściwie to już najlepiej było po śmierci Stalina. Wprowadzono tak zwany (nz), stołówki, w których można było kupić żywność. Można było sobie zafundować obiad i mnie, z tego, co ja otrzymywałem, to wystarczało na jakiś tydzień, do 10 dni, żebym poszedł do stołówki. Prosiłem zwykle tych jeszcze, którzy nie zarabiali pieniędzy, na przykład pana Galińskiego. Może to się przewija ta postać, to jest ostatni delegat rządu w Wilnie. Czy innych takich inwalidów, którzy nie mieli tej możliwości. Jakies 10 dni można było z tego wyżyć. To już było zresztą lepiej, u mnie to o tyle lepiej, że już wtedy chorowałem i apetytu nie miałem, no ale to już inne rzeczy. Ale wracając do tego ucz kombinatu. Ten ucz kombinat właściwie mnie uratował od śmierci. I konkretnie jeden człowiek. Zgłosiłem się do tego naczelnika, tego sekretarza ucz kombinatu. To był również więzień, taki z tych więźniów uprzywilejowanych. On się pyta, jakiej jestem narodowości. Ja mówię, że jestem Polakiem i jemu się oczy zaświeciły. *Ach, ja miałem przyjaciół Polaków. Bardzo cenilem ich.* Ja myślę sobie, to już dobrze. Już jest się, o co zaczepić. Okazuje się, że to był adiutant Świerczewskiego z Hiszpanii. Nazwisko Sergiej Władimirowicz, tak. Sergiej Władimirowicz Eisner. Wydaje mi się, że to był Żyd. Przynajmniej nazwisko o tym świadczyło i jego wygląd zewnętrzny. Był taki czarny właśnie, jak gdyby nieco semicki.

[4A, 00:25:00]

Ale bardzo ciekawa rzecz, że on pomagał inteligentom, wyraźnie. Łącznie z tym, że pomagał księżom polskim. Był tam ksiądz, znany, ze znanej rodziny tych kniaziów właściwie spolszczonych zaraz. Jak on się nazywał?

WK: Czy nie Sołtan?

JG: Sołtan, tak. (nz) Sołtan, tak. I on ksiądz Sołtana urządził na funkcji szczytowoda, to znaczy takiego rachmistrza w stołówce. Ja pytałem się jego, dlaczego on pomaga ludziom, którzy są właściwie ideowo zupełnie przeciwni jego idei. A on mówi, że w tym morzu bezwzględności tej właśnie Urków w stosunku do inteligencji, inteligencja powinna sobie pomagać niezależnie od tego, jakiego jest przekonania. No, to było stanowisko powiedzmy dosyć takie, ja bym powiedział nawet...

WK: Humanitarne.

JG: Humanitarne, szlachetnością jakąś powiedzmy trące, chociaż nie wiem do dzisiaj, kto to był Eisner. Miałem duże wątpliwości. Stwierdziłem, że zna język polski. Dowiedziałem się później, że pracował, jako zawodowy rewolucjonista w Polsce, później w Czechosłowacji, we Francji. Oczywiście w Hiszpanii. To był zawodowy powiedzmy pracownik KOMINTERN-u.

WK: Tak, jak najbardziej.

JG: Tak, tak. I bardzo się interesowałem sprawami polskimi. Często wracał do tego motywu Królikowski, inni. Wyczułem z tego, że on Królikowskiego znał. I mnie się zdaje, że w jakimś stopniu maczał palce w sprawie tych ludzi, którzy jak pan wie, zostali zniszczeni przez Stalina, zostali rozstrzelani. To z tego, z komitetu Komunistycznej Partii Polski. Więc, ale do tego się nie przyznawał. Do Czechosłowacji się przyznawał, do Francji i do Hiszpanii tak. Ale, co zrobiło najlepsze wejście? To, że ja miałem pewne wiadomości dla niego, które go bardzo ucieszyły. On był pewny, że tak jak on siedział, że również Świerczewski siedzi, tylko nie wiedział gdzie. A ja mu dałem pierwsze wiadomości o Świerczewskim. Świerczewski już był wtedy dowódcą drugiej armii tej, tej ludowego, wtedy nie ludowego, ale Wojska Polskiego, jeszcze się tak nie nazywało i to zadecydowało: *Dobrze, proszę pana, ja wezmę pana pod uwagę, przez lekarzy będę działał. Jak będzie się organizowało kursy, pan pójdzie do szpitala.*

[00:00:00] Gardynik_Jerzy_AW_I_0181_4B

JG: *Pan pójdzie do szpitala, a ze szpitala ja pana mogę wziąć już powiedzmy do tego ucz kombinatu.* Był taki zwyczaj, że, to znaczy było takie, taki przepis, że po szpitalu można zmienić brygadę. Nie za bardzo mi to zresztą wychodziło od razu, dlatego że ten Czuma pilnował mnie bardzo. Ja byłem cennym jego powiedzmy pracownikiem. On przychodził, odwiedzał mnie i pilnował, kiedy ja wyjdę ze szpitala i upilnował ten moment, że ja jestem wypisywany i on mnie wziął z powrotem do brygady i ominęły mnie te kursy pierwsze. To miały być kursy chemików. Tam było ogromne, dosyć duże takie centralne laboratorium chemii węgla i tam można było spokojnie przeżyć powiedzmy te trudne dni obozowe. Wobec tego, on ponowił ten manewr drugi raz i tym razem się udało, po jakimś czasie oczywiście. Musiałem jeszcze powiedzmy poczekać, chyba czekałem z 1,5 albo 2 miesiące. Szczęściem moim było,

że Czuma wrócił do swojego fachu, ten mój brygadier. Wrócił do swojego zasadniczego fachu. To był notoryczny bandyta i za to siedział. Więc któryś z jego kumpli zrobił mu taki prymitywny pistolet na jeden nabój. Czuma miał przepustkę, mógł wychodzić za obóz i wychodził na rozstajne drogi zarabiać dodatkowo na życie. I tam wpadł gdzieś, no i oczywiście został w obozie jeszcze aresztowany, jeszcze mu tam dodali troszeczkę powiedzmy tych, tego wyroku. To dla niego nie miało żadnego znaczenia, bo to byli panowie, którzy mieli po kilkadziesiąt lat wyroków. Byli rekordziści, którzy mieli ponad 100 lat wyroków za sobą. To znaczy, za takie już przestępstwa obozowe, za zabicie człowieka dodawano 3 do 5 lat i on tak sobie zabijał i zabijał, rosły mu te, sumowały się te wyroki. On się z tego śmiał, bo to był dla nich dom rodzinny. Oni nie znali innego życia. Tam oni żyli powiedzmy na swoją skalę. Tak, że z takich był właśnie Czuma. No, szczęśliwie wpadł i ja się dostałem na kursy geologów górniczych tam. No i po zakończeniu tych kursów, pamiętam, już byłem w ostatnim stadium wycieńczenia. To było już na, ostateczny sygnał na zmianę.

WK: To wręcz nie dystrofia, a pelagra chyba, tak?

JG: No, pelagra to nie była. Myśmy nie przeżywali tej pelagry, bo pelagra to była uwarunkowana też brakiem specyficznych składników żywnościowych, brakiem takich składników, które na przykład znajdowały się w wątrobie zwierzęcej. Pelagra, pelagrę można było zlikwidować po zjedzeniu kilka porcji wątroby, ale tej wątroby nigdzie nie było, prawda? Ja na przykład znam opowiadania, to podsłuchane opowiadanie kapusia. Był taki księgowy, właśnie w tych barakach Urków mieszkał. Wysoki nazywał się, Rosjanin. I on opowiadał jak to było właśnie w okresie tej pelagry. Nas nie było jeszcze w obozie, to po prostu kilkunastu do 25, nawet do 30 jednego dnia więźniów umierało w obozie. To sobie proszę policzyć, jeżeli obozy miały 5, 6 tysięcy więźniów, grupowały, to w jakim czasie miał się prawo powiedzmy ten zestaw zmienić. Więc on widząc swój nieuchronny koniec, poszedł do opera, to znaczy do tego kierownika służb, że tak powiem, policyjnych, tych wywiadowczych i zaproponował mu, że zostanie kapusiem za cenę powiedzmy kilku porcji właśnie wątroby.

[4B, 00:05:00]

Tak jak opowiadał, to tamten mówi: *A na co ty mi jesteś potrzeby? Ja mam takich jak ty to całe rzesze.* No, ale on tam szturmował, szturmował i rzeczywiście, powiedzmy ten, załatwił te kilka porcji wątroby, a ten za to został kapusiem i był kapusiem cały czas. Nawiasem mówiąc, bardzo

mnie się przysłużył w pewnym momencie, to jeszcze będziemy mówić o tym wszystkim później.

WK: Ale negatywnie?

JG: Negatywnie, tak. Tak, że tutaj no może od razu o tym powiem. Pracując w zarządzie geologicznym, stworzyłem sobie dosyć taką pozycję niezachwianą przez to, że rozumiałem, że tej pracy trzeba strzec, bo to jest szansa mojego przeżycia. To była praca laboratoryjna i praca momentami bardzo brudna. Te wszystkie próby węgla rdzeniowe, z wierceń, przechodziło przez moje ręce, wszystkich tych powiedzmy, tam było kilkadziesiąt tych aparatów wiertniczych, które wierciły tam w tundrze. Ja ten węgiel opisywałem, miałem robotników, którzy ten węgiel rozdrabiali, przesiewali przez sita i robiono z tego próby do oznaczeń laboratoryjnych, już z takiego węgla rozdrobnionego. To praca była przeznaczona dla jednej z pań, żony dyrektora tej instytucji, gdzie ja pracowałem i ona tej pracy bardzo nie lubiała, bo to była praca brudna. To był geolog, petrograf węgla. I ona to scedowała na mnie. Ja za nią ten pył połykałem i dlatego byłem nieodzowny. Nawet w pewnym momencie to mi pomogło, właśnie w momencie tym krytycznym, kiedy zostałem sprzedany przez kapusiów operowi. Trzeba sobie zdać sprawę z tego, że Polacy byli przez Rosjan nie lubiani. To już powiedzmy było w tradycji rosyjskiej. Nawet starali się powiedzmy, jeżeli można było szkodzić, to szkodzili. Odnosili się z pogardą, no taka pogarda na przykład wyrażała się w takim wyzwaniu *wot polaczyszka*. To często było, „polski pan” i tak dalej. I nie wiem dlaczego, nie dałem ku temu żadnego powodu, takim powiedzmy polakożercą był prorab tej instytucji, w której pracowałem. To znaczy prorab to był więzień, który dysponował wszystkimi więźniami pracującymi w danej instytucji. Miał nadzór nad tym. Po prostu może właśnie z tych powiedzmy jakichś naleciałości, sposobu wychowania nie lubiał mnie. Ja zresztą, może w przeciwieństwie do innych, właśnie Kawecki był też takim nie lubianym przez niego, ale inni jakoś znajdowali wspólny język z nimi, jakoś powiedzmy ugodowo to traktowali. Natomiast niektórzy z Polaków byli bardzo źle traktowani. I wymyślili coś takiego: ja miałem jechać na delegację, jako więzień na delegację. Ta delegacja polegała na tym, że ze mną jechał strażnik czy dwóch strażników nawet. Ja miałem jechać jeszcze dalej na północ w kierunku (nz). To było jeszcze 70 kilometrów dalej w stronę Morza Karskiego. No i ten prorab z innymi wymyślił coś takiego, że ja wykorzystam tą właśnie rzecz do ucieczki. Tam jakichś bzdur nagadali, że zabiję tych strażników czy strażnika i że oni wiedzą o takich zamiarach, a zaczęło się od tego, że nariadczyk, to znaczy ten główny nariadczyk, który w tym obozie był.

[4B, 00:10:00]

Nariadczyk, to był taki dozór ze strony, ogólny ze strony obozu, wykonywany przez więźniów, przy rozprowadzaniu, powiedzmy on decydował o tym, kto gdzie pracuje i tak dalej. Więc bardzo wpływowy człowiek. On mieszkał właśnie w tym naszym baraku i kiedyś zaproponował mi, żebym ja z nim zagrał w domino. To trzeba było mieć czterech osób, cztery osoby. Nie mógł znaleźć, a ja mu odmówiłem. On mi wtedy zagroził: *Poczekaj, ja ci pokażę, co to będzie*. I to się w sumie dla niego bardzo kiepsko skończyło, chociaż moja sytuacja w pewnym momencie była bardzo tragiczna. Muszę jeszcze dodać, że była jeszcze jedna rzecz. Nasi chłopcy, radiowcy pamiętali sygnały wywoławcze Londynu. Fachowcy, jeżeli mieli odpowiednie powiedzmy warunki techniczne, odpowiednie części, a zdobyli to, zbudowali aparat.

WK: Nadawczy?

JG: Tak. I przez pewien czas był w związku z tym niepokój wielki w Workucie. Dochodziło do tego, że na przykład więźniowie, ci Urkowie zabijali oficerów. Zginął taki major Garkusza, szef obozu karnego, tak zwanego izwiostkowego. To były kamieniołomy wapienne. Podszedł do niego jeden z Urków i do niego w tym kwiecistym języku, bo to ja przepraszam, że powtórzę (*nz*). I zarznął go po prostu. Zabił tego majora. No, ale to skąd wychodziło? No właśnie stąd, że o Garkuszy bardzo dużo mówiono, jako o kierowniku, naczelniku tego obozu karnego. On rzeczywiście tam powiedzmy rozmaite rzeczy wyczyniał, ale najważniejsze było to, że było, wszystkie wiadomości, co się działo, to wtedy BBC to trąbiło na cały świat z tych. I między innymi też...

WK: A teraz wiadomo, kto to nadawał?

JG: Nie wiem do dzisiaj. Mnie to nie interesowało i starałem się nie wiedzieć, wie pan.

WK: Ale teraz?

JG: Nie wiem, być może, że to był Irys, nie wiem. To był ktoś z radiowców, z łącznościowców, którzy...

WK: No Irys nam już nie powie tego.

JG: Tego nie powie, z pewnością. Więc, a ja Irysa nie znałem wtedy i ja byłem, myśmy byli w innych obozach. To chodziło rozmaitymi drogami, ta łączność była, ale ja brałem udział w spisywaniu, w spisie Polaków tam na Workucie. I to robiłem po prostu pod nosem tych kapusiów. Oni nie bardzo się orientowali, co. W każdym razie ten spis był oczywiście podany przez radio, tam do, na Zachód, do BBC i później oni już konkretnie wiedzieli, kto tam siedzi, z wszystkimi danymi, ile lat, jak co, gdzie, gdzie, w jakim obozie, gdzie pracuje i tak dalej. Wszystkie detale znane były. Oprócz tego, żeby to powiedzmy w razie jakiejś wpadki, nie było jednoznaczne, że to jest to, to te spisy zostały przekazane również ambasadzie polskiej przez ludzi, którzy mieli tam dostęp, że to niby dla ambasady było robione. I w pewnym momencie, dlaczego ja to mówię? W pewnym momencie wparza do tego baraku trzech NKWD-istów, wymieniają moje nazwisko: *Zbieraj się z rzeczami (nz)*. No to jasne, że to do karceru, do izolatora. No to ja zwijam te swoje *maniony*, a oni mówią: *(nz)*, żeby się nie wysypać, to znaczy, że mnie już tutaj, że ja tutaj nie wrócę.

[4B, 00:15:00]

No i wsadzili mnie do tego karceru. Siedzę z jakimiś dwoma takimi debilami, jakimiś przestępcami pospolitymi, w tym coś strasznego. To nie wyobrażałem sobie, że coś takiego może istnieć. Zimno, smrodliwie, bo *(nz)* stoi, szczury chodzą po głowach prawie. Ja tak trzy dni siedzę, wreszcie zaczynam pukać do drzwi. Podchodzi ten dozorca, ja mówię, że ja chciałbym rozmawiać z *(nz)*. Ja nie wiem, o co chodzi, ja chcę rozmawiać. No, to on był obowiązany to przekazać. Przekazał i wezwał mnie *(nz)*. Taki miał zażyły pamiętam, on był po prostu tak jak dobrze wypasiony proboszcz, tylko w mundurze. I ja mówię do niego, że wzięto mnie, nie wiem, o co chodzi, chciałbym wiedzieć, w czym rzecz. A on tak ironicznie: *Naprawdę, nie wiecie, o co chodzi?* Mówię: *Nie wiem*. I on, tak troszeczkę skępowany i mówi szto *(nz)* że zbieramy się uciekać. *A ja mówię jemu tak: Niech pan dobrze na mnie popatrzy. Pan jest człowiekiem rozumnym, widzi pan, w jakim ja jestem stanie fizycznym. A już wiedziałem o tych wersjach tego proraba, o jego prowokacji, bo mnie uprzedzano, że on w ten sposób prowokuje. Jak sobie pan wyobraża, jak ja bym mógł powiedzmy to zrobić?* No mówi: *Na przykład przy delegacji na (nz)*. Ja mówię: *Proszę pana, w swoim stanie fizycznym, miałbym się, w jaki sposób pozbyć straży? To jest raz. I uciekać gdzie do Polski, w kierunku na Morze*

Karskiego? Przecież to jest zupełnie nielogiczne. Ja mówię: *To chyba nie o to chodzi, to chyba jest coś innego*. On się zaczerwienił od razu. Ja widzę, że coś takiego. I on mówi: *Aha, a (nz)*. No to już wiem, o co chodzi konkretnie, chodzi o te spisy. Ja mówię: *No nie wiem ile jest Polaków w Workucie. A ile jest w naszym obozie*: Mówię: *Ja nie liczyłem. No, ale ile tak?* Podałem mu jakąś fałszywą, zaniżoną cyfrę, prawda? No, tak (nz). Tyle mi powiedział. I po pewnym czasie wzywa mnie i znów dziwna rzecz. Mówi: *Wy idziecie z tego baraku więziennego i pójdziecie jeszcze popracować, ale was nie minie wasz los. Pójdziecie do obozu specjalnego*. Wiecie, co to będzie Reczłag, bo to już mówiono o tym Reczłagu, o obozie specjalnym i oni rozpowszechniali nawet takie wieści, że to jest obóz do likwidacji. Ja mówię, ja w te rzeczy nie za bardzo wierzę. Tak mu mówiłem bez przekonania tylko powiedzmy, żeby powiedzieć, a będzie sytuacja o tyle lepsza, że nie będzie Urków tam, bo to rzeczywiście była plaga. No, mówi: *Ja bym nie był takim optymistą*. No, ale po chyba 1,5 dniach wypuszczono mnie. Okazało się, że właśnie ta dama, za którą ja robiłem tą czarną robotę, a akuratnie w tym czasie, jak mnie wzięto, to była rozpoczęta ta czarna robota i ona, jeżeli trwała, to trwała do 10 dni, do dwóch tygodni. Ona by musiała to robić. Jej mąż, ten dyrektor, oczywiście był też NKWD-istą i był serdecznym przyjacielem tego opera. Jak się później dowiedziałem, oni prosili, żeby on, jeżeli można tę rzecz, ukręcić jej łeb, żeby ukręcił i ja jeszcze powiedzmy zdołałem zrobić tą czarną robotę, jeszcze następne rzuty.

[4B, 00:20:00]

Jakieś 3 miesiące jeszcze pracowałem i później jak już formowano ten Reczłag, mnie wzięto oczywiście do tego Reczłagu, ale już ona była do tego przygotowana. Już mi dała nową laborantkę, którą ja przyuczałem do tego, prawda? I powiedzmy w ten sposób swoją sytuację ratowała. Po prostu uratowało mnie to, że ona nie chciała pracować w tych tumanach pyłu i to dało swoje dodatkowe, korzystne dla mnie rezultaty. W tej instytucji, gdzie pracowałem, pracowało też parę Polaków. Pracował również Kaziu Kawecki. On skończył też takie kursy, znów tych majstrów wiertniczych, ale nie pracował na tej, na jakimś rygu wiertniczym, tylko pracował w tym zarządzie właśnie, też w tym dziale powiedzmy przechowywania tych prób. Ja miałem nawet z nim tą łączność służbową i mieszkaliśmy w jednym baraku. Nas w tym baraku było trzech, czterech Polaków, czterech Polaków: Kawecki, ja, Michał Tatarzycki, pan chyba jego nazwisko spotykał. To był podchorąży z oddziałów, nie pamiętam, z której brygady wileńskiej. Była brygada Ronina, tak? Tak, on był z brygady Ronina i był żołnierz z 1939 roku, jeszcze siedział tam i został po nas. Żołnierz Polak, który przechytrzył, bo w pewnym

momencie jemu się wydawało, w tych latach właśnie 1939, 1940, 1941, że lepiej podać się za Litwina i podał się, że jest Litwinem i to go zgubiło. Brano do armii Andersa, do armii Berlinga, myśmy wyjeżdżali, a on został. To się tak wydawało, że to jest powiedzmy rzecz jakaś no, zapobiegawcza, mądra czy coś takiego. Nie ma żadnej mądrości w takich rzeczach. Trzeba czekać cierpliwie na swoją kolej. No i tu już po, mając już te swoje związki z tą instytucją geologiczną, z laboratorium chemicznym, jak mnie wzięto do tego Reczłagu, przez to laboratorium chemiczne zostałem, urządziłem się w laboratorium oddziałowym, takim kopalnianym tam na tym, a później już przeszedłem do służby geologicznej górniczej, na tych kopalniach, na sąsiednich kopalniach. Z tym, że jeszcze może wrócę do tych spisów, które się robiło. Jak to się odbywało? Po prostu wychodziłem na przechadzkę z kimś i rozmawiałem z nim. Zapamiętywałem te wszystkie dane, które on podawał i już powiedzmy tam w biurze sobie gdzieś zapisywałem i trzymałem to w schowku poza obozem. Myśmy nie mogli sprawdzić tego, kto jest Polakiem, a kto może się podszywać, że jest Polakiem. I był taki pan Miodowski, Polak czy Białorusin, w każdym razie był Polakiem, czuł się Polakiem. Próbował dostać się kiedyś do podchorążówki medycznej w Warszawie. Odmówiono mu, poczuł się urażony i wobec tego zmienił narodowość, poczuł się Białorusinem. On był takim powiedzmy, jak to na tych terenach było, że z jakiejś rodziny mieszanej. Do tego stopnia, że podczas okupacji, to znaczy w początkach okupacji on był marszałkiem sejmu białoruskiego, tego okupacyjnego.

[4B, 00:25:00]

Białorusini mieli nadzieję, że im Niemcy coś stworzą, tak jak Ukraińcy czy Litwini. W każdym razie taki człowiek kolaborujący. Zgłosił się, on był w naszym towarzystwie, przebywał, podawał się za Polaka. Nie mogłem stwierdzić, że nie jest Polakiem. Jego również zarejestrowałem, a to był kapuś. Drugim takim samym był pan (nz), jakiś volksdeutsch czy reisdeutsch, kumple, oni razem przyszli do mnie i razem mnie założyli. I od nich ta informacja dotarła właśnie do opera i wtedy mnie aresztowano. Zresztą ten człowiek przysłużył się też innym z naszego grona. No, jest podobno gdzieś w Gliwicach, ale pod innym nazwiskiem, a jego poznać nie mogę. Więc cały czas powiedzmy to mnie ratowało, że pracowałem początkowo, w okresie od roku chyba 1946 do roku 1948 w tej instytucji, w tym zarządzie geologicznym. Później pracowałem, już mając te kontakty w służbie geologicznej górniczej, w kopalni i powiedzmy krótki czas w tym laboratorium chemicznym. Co to mi dawało? Przede wszystkim, ta specjalność była bardzo deficytowa. Nie było konkurencji takiej poważniejszej, chociaż próbowali to rozmaicie robić. Ja byłem świadomy tego, że moją szansą jest utrzymanie

się na tym. Szansą przeżycia to jest utrzymanie się na tym stanowisku. Natomiast nie mogłem sobie pozwolić na jakiegokolwiek nadużycia, bo tam wszyscy kombinowali i Rosjanie te nadużycia robili jakieś takie, żeby na przykład wziąć łapóweczkę czy coś takiego. Owszem, nie raz pomagałem ludziom jak mogłem, bo powiedzmy władza geologa tam w kopalniach była znacznie większa niż może powiedzmy u nas, w naszych warunkach. Tam można było wpływać na, geolog mógł wpływać na wskaźniki ekonomiczne, że tak powiem, to patetycznie, poszczególnych brygad przez dawanie zaświadczeń. Przeważnie twarda skała, że woda, że uskok. Ja miałem takie momenty, że powiedzmy brygady brały za to oficjalnie powiedzmy nagrodę, bo miały powiedzmy takie wykony tego planu, że dostawali na przykład do podziału, oddział dostawał świnię. I przychodzi do mnie naczelnik oddziału, że on czuje się zobowiązany ze mną się podzielić. Ja nie przyjmowałem tego, bo zdawałem sobie sprawę z tego, że jeżeli to się rozprzestrzeni, to ja mogę stracić posadę, ale to mi jeszcze lepszy mir robiło wśród tych ludzi, że widzicie, potrzebujący, bo ja ciągle...

[00:00:00] Gardynik_Jerzy_AW_I_0181_5A

JG: Że widzicie, potrzebujący, bo ja ciągle byłem tym powiedzmy takim *dochodiagą*, a jednak (*nz*). Tak, że powiedzmy ja, jeżeli wchodziłem na jakiś oddział czy coś takiego i potrzebowałem na przykład, żeby oddział nie pracował przez 15 minut, bo ja muszę tam swoje pomiary zrobić czy jakiś szkic, powiedzmy jakiś geologiczny, zawsze miałem ten mir. Więc w ogóle mówiono tak, że wśród więźniów to mówiono i czekaści też to powtarzali nie raz, że władza sowiecka kończy się w szybie. Że dalej już powiedzmy NKWD nie ma wpływu, co tam się dzieje. I były wypadki takie, że jeżeli ktoś z dozoru górniczego za bardzo się powiedzmy no, za bardzo postępował rygorystycznie, to mógł być nawet wolny, tak zwany wolny, to jego w kopalni wykańczano. Były takie wypadki, że nie było człowieka, jakiegoś kierownika oddziału przez kilka dni i wreszcie znaleziono go w przedziale drabinowym szybu wentylacyjnego, gdzie nikt nie chodził. Powiesili go po prostu, nie wiadomo, kto. Tak, że powiedzmy, tam w tych warunkach trzeba było umieć żyć. Ja z początku, jak dawałem te zaświadczenia, bałem się jak to przyjmie nasze kierownictwo. Ale po, kierownictwo powiedzmy tej kopalni, kierownikiem dyrektorem był kapitan NKWD-ista, w mundurze chodzący. Naczelnym inżynierem, to był były więzień, jakiś konstruktor lotniczy, który się dostosował też na prawie takim powiedzmy tego (*nz*) i był inżynierem górnikiem później i on prowadził tą kopalnię, ale ja widzę, jak puściłem pierwsze, że oni nie reagują i później wyczułem, że to jest dla nich wygodne, bo jeżeli powiedzmy brygady wypełniały większą ilość formalnie plan, to oni mieli też lepsze premie. I

do tego już dochodziło, że oni nigdy mi nic z tego powodu nie zrobili żadnego zarzutu, natomiast w momencie, gdy się spodziewali, że będzie kontrola, to dawali mi znać. To było tak w sposób powiedzmy niemówiony, taki, ja nigdy z nimi na ten temat nie rozmawiałem, ale takim człowiekiem, który w sposób naturalny te sprawy jakoś prowadził, był ten właśnie człowiek, o którym Kazio wspominał, Udowiczenko. On mówił: *Jurij, smatri. Przyjadą z tego, z kombinatu czy ze zjednoczenia i będzie kontrola*. Wówczas ja, odpowiednio wcześniej wycofywałem te zaświadczenia, które były lipowe. A te, które były powiedzmy uzasadnione, oczywiście zostawiałem i w ten sposób można było powiedzmy ludziom pomóc, chociaż Kaziu ma z tego powodu do mnie pretensje, bo był taki moment, że ja już powiedzmy tych, te zaświadczenia w tym momencie wycofywałem, Kaziu się nie orientował, musiałem, przyszedł do mnie z żądaniem, on dowiedział się: *A ty dajesz innym, to daj mi tutaj*. A ja mówię: *Śluchaj Kaziu, niemożliwe jest. Nie dostaniesz teraz, dostaniesz później*. On się obraził. No i do dzisiaj ma pretensje do mnie. Dostał później, ale powiedzmy też to od czasu do czasu musiałem regulować w sposób naturalny, w sposób jakiś taki, który by gwarantował ten proceder na dłuższy okres czasu. Więc tam powiedzmy, jeżeli chodzi, mówił pan o tej opłacalności. Ja panu dam przykład, jaka bezsensowna ta rzecz była, w sensie ich przepisów. Był obowiązek założony w projekcie budowy kopalni, badania niektórych pokładów dodatkowych. Dla mnie było jasne, że na podstawie tych dokumentów, które miałem, dokumentów zwierceń, że to nie da.

[5A, 00:05:00]

Ale to stwarzało możliwości no stworzenia takich brygad, które gdzie ludzie mogli stosunkowo lekko przeżyć, przy wierceniach powiedzmy takich. Nie na wydobyciu, nie na tym, czy przy powiedzmy badaniach jakimiś wyrobiskami górniczymi, ale nie przy wydobyciu na przykład. To też się liczy. I były pokłady, które no nie zasługiwały na eksploatację w gruncie rzeczy, ale założone było w projekcie kopalni, że one mogą być eksploatowane. Kryterium było, że ma odpowiednią grubość i ma odpowiednie zanieczyszczenie, nie za duże. Miało tam, był taki pokład, który miał, tym warunkom odpowiadał. Z tym, że on miał jeszcze oprócz tego duży opad ze stropu, ale tego nie brano pod uwagę. Według przepisów to był pokład nadający się do eksploatacji i był brany, tylko że ten opad powodował zanieczyszczenie pokładu takie, że to się nie nadawało, jako węgiel według innych kryteriów. Więc tam eksploatowano, natomiast na podszybiu stał taki półgramotny muzyk, wprawnym okiem patrzył na ten wagon z węglem, widział, że za dużo jest skały płonnej, za dużo kamienia i odsyłał to wydobyć na zwał

kamienia. To znaczy, no wydobyć, tam jakieś 40% tego wydobyć było uznawane, jako węgiel, a 60% wydobyć szło na zwały, ale i jedna rzecz, i druga rzecz była usankcjonowana przez Moskwę i nikt nie chciał się wychylać z tym, żeby tego tak nie robić, bo byli tam tacy ludzie, na przykład Udowiczenko, ten właśnie, który siedział za to, że się wychylił, że myślał logicznie, że wskazywał, że coś jest nie tak i za to go wsadzili, bo to było wbrew ich przepisom. Więc ludzie woleli tych rzeczy nie poruszać i patrzyli na to, jak to się odbywa w sposób powiedzmy no zupełnie niezgodny nie tylko z ekonomią, ale i z logiką.

WK: Z logiką.

JG: Tak. Tak, że powiedzmy, zasadniczych powiedzmy takich konfliktów jakichś powiedzmy tam w obozie, jakoś szczęście mnie sprzyjało, że mimo ciężkiej sytuacji początkowej, jednak udało mi się powiedzmy to przeżyć i doprowadzić do tego, że się nie poddałem, bo jakbym w pewnym momencie nie podjął starań o ratowanie życia, jeżeli bym się poddał temu, co jest, to bym tutaj dzisiaj nie siedział.

WK: Zastanawia mnie pana rezerwa w powiedzeniu, kto nadawał, kto to przekazywał Londynowi. Mamy rok 1989.

JG: Nie wiem, nie wiem. No po prostu nie wiem i nigdy się tym nie interesowałem. Są pewne zasady, wie pan.

WK: Bo przez pewien czas to by było słuszne, się nie interesować, ale jest rok 1989.

JG: Nie wiem, kto to robił. Naprawdę nie wiem i nie będę powiedzmy tego... No być może, że to był Irys, ale nie jestem pewny. W każdym razie ktoś z radiowców, to jest pewne.

WK: Ja raczej wątpię, czy Irys dlatego, że na niego były oczy zwrócone. On był dwukrotnym Workutczykiem. Już wtedy chyba wiadano, że on już raz zaliczył Workutę w 1939 do 1941 roku.

JG: Ja nie wiem, czy te rzeczy powiedzmy są tak analizowane w życiu powiedzmy tym obozowym. Te rzeczy jakieś, powiedzmy no, ktoś by musiał do akt zaglądać i powiedzmy pamiętać o tym ciągle.

WK: Wiem od niego, że później to wykryło się.

JG: Co się wykryło?

WK: Że on już raz był na Workucie.

JG: Aha, no wiemy o tym, że on był. No, mnie się zdaje, że on był jedynym takim, który dwukrotnie był.

WK: No właśnie o tym mówię.

JG: Jedyny, który był dwukrotnie.

WK: Mało pan mówił stosunkowo o tym świecie przestępczych czesnych worów, błatnych, o sprawach walki władnych z sukami?

JG: Ach, tak, to proszę pana, to czasem przybierało bardzo ostre formy.

WK: Niech pan spróbuje zanalizować ten świat, inny zupełnie niż świat sowiecki. Świat, który zachował autonomię, jedyny chyba.

JG: Ja wiem, czy...

WK: Jedyny niezwyknięty przez ustrój radziecki.

[5A, 00:10:00]

JG: Ja myślę, że to miało swoje uzasadnienia w ich teoriach. Oni uważali, że ci ludzie zbłądzili, ale to nie są wrogowie klasowi. To są klasowo bliscy, ale oni zbłądzili. Oni tylko zbłądzili. I mnie się zdaje, że to w dużej mierze wynika ogólnie rzecz biorąc, z osobowości Stalina. Jego życiorys młodzińczy jest bardzo mętny. Wiadomo, że on się zajmował jak to się mówi, bardzo delikatnie, organizowaniem finansów dla działalności rewolucyjnej.

WK: Czyli de facto rozbojem.

JG: Rozbojem.

WK: Ale i taki punkt w życiorysie ma Józef Pilsudski.

JG: Nie.

WK: Napad na transport wiozący jakąś tam kasę i dla organizacji, prawda? Niepodległościowej, to zostało, prawda? Zdobyte.

JG: Nie, nie. Z pewnością nie. Oni mówią, że ilość przechodzi w jakość, wie pan. I to jest ta zasadnicza różnica. Jeżeli z powodów ideowych się powiedzmy pewne rzeczy robi i nie wykorzystuje się do tego świata przestępczego i robi się to w ograniczonym jakimś zakresie, a to się robiło po prostu na wielką skalę. I to zacieranie powiedzmy śladów tej działalności nie jest przypadkowe. Tam były nawet takie przesłanki ku temu, żeby sądzić, że Stalin Dżugaszwili przebywający w tym środowisku przestępców, był jakiś czas konfidentem ochranki.

WK: No są takie pogłoski.

JG: Tak, to jest bardzo możliwe. W każdym razie, jak by nie zacierać te ślady jego powiązań ze światem przestępczym, zewnętrzne oznaki tych powiązań u Stalina pozostały. Ci, którzy znają świat przestępczy Urków tych obozowych, widzą te elementy bardzo wyraźnie u Stalina. Na przykład, sposób ubierania się. Ja pamiętam taki jego portret w mundurze marszałka, czyli generalissimusa, jak on to się nazywał. Buty odwrócone na zewnątrz tym podszyciem, cholewa odwrócona. Typowy dla Urków sposób ubierania się. Wyrzucone na to spodnie, te lampasy, lampasowe. Na to w taki sposób, jak to Urkowie robili. Jego ulubione pieśni, to są pieśni ze zbiorów urkowskich. (nz) to jest taka powiedzmy, te pozostałości, których on nie przewyciężył w sobie, ale przede wszystkim ta teoria, że to nie są wrogowie, to są klasowo blisko, bliscy i to powiedzmy, że im ułatwiano to przeżycie w obozach, stwarzano warunki uprzywilejowane. W ogóle, zasada *divide et impera*, w obozach, była stosowana na każdym kroku. Starano się przeciwstawiać poszczególne grupy tych represjonowanych sobie. Więc na przykład w takiej Workucie, jedynym właściwie nieposzlakowanym, to był ten na górze stojący. Czy to generał Malcew, czy jak żesz on się nazywał, poprzedni?

WK: Maslenikow?

JG: Maslenikow nie. Maslenikow to był zastępca Berii, który przyjechał na rozmowy, tylko w czasie tych strajków. Zapomniałem nazwisko, był jeszcze. Ich było trzech, to trzeba by powiedzmy przygotować się do tego, odtworzyć te nazwiska.

[5A, 00:15:00]

To był, jak to mówili Rosjanie „car, Bóg i wołyński naczelnik”. Cała władza była jego. To było na zasadzie zupełnie, ja bym powiedział nawet, no jakiejś wasalnej, jakiejś powiedzmy cofnięcie właściwie Rosji przez ten system o 1000 lat wstecz. On się kłaniał tylko w górę, a jemu się kłaniali wszyscy z dołu. On miał absolutną władzę tam. I tam właściwie były takie okresy czasu, że już wszystko było jego. I kopalnie, i powiedzmy miasto, i kolej, i powiedzmy, i transport samolotowy, i transport rzeczny. To wszystko jemu podlegało. Więc do tego stopnia, że nawet nie było pozorów samodzielności. Nie było na przykład komitetów partyjnych tam. Natomiast on miał w swoim zarządzie, zarządzie kombinatu tak zwany polit oddział, oddział polityczny, który kierował sprawami partyjnymi, ale to był oddział w jego dyrekcji. To nie był jakiś komitet partyjny, chociażby z pozorami samodzielności. I powiedzmy, sprawy tak ustawiane, jak mówiłem, żeby zróżnicować te poszczególne grupy społeczne w tej społeczności obozowej czy społeczności represjonowanych w ogóle, bo tam byli i (nz) i inni tacy, powiedzmy wysłani na zsyłkę. I zawsze się mówiło: *A, że ty jesteś, my tobie więcej dowierzamy, niż tamtemu, prawda? My mamy do ciebie większe zaufanie niż do tamtego. Ty nim rządz i wyciśnij z niego wszystko.* Tak samo powiedziano Urkom. *Wyście zblądzili troszeczkę, ale wy jesteście bliscy klasowo nam. Wy musicie powiedzmy nimi rządzić i wy musicie z nich ostatni pot wycisnąć, bo to są wrogowie i wasi, i nasi.* I to w jakimś sensie dawało efekty. Wystarczy, że pewna część tylko powiedzmy na to poszła, a efekty to dawało, bo Urkowie byli też zróżnicowani. Byli tak zwani czesnyj Urki i sucznej Urki, prawda? Jak to mówią. Więc czesnyj Urki to byli...

WK: Czesnej wor raczej powiedzmy sobie chyba. Czesnej wor i suki?

JG: I suki tak, ale Urki. To było ogólne nazwanie takie. To znaczy nieidące na współpracę z NKWD, a tamci na współpracę to szli i między nimi była szalona konkurencja o opanowanie

powiedzmy tego, faktyczne opanowanie, podporządkowanie sobie obozu wewnątrz, prawda? Samych więźniów, jako takich i rządzenie powiedzmy takim czy innym terrorem. Dochodziło do tego, że były całe batalie. Ja pamiętam, że w przeciągu jakiejś 1,5 godziny, jedna grupa zabiła 30 osób z drugiej grupy. Po prostu na dany sygnał wtargnęli do baraków i zabijali. Wochra próbowała powiedzmy tą sytuację opanować, ale nie mogła, bo ci strażnicy wchodzili do obozu bez broni. Ja pamiętam na moich oczach to było. Niosą do szpitala, już rannego. Obok idzie strażnik z taką pałą, nie z bronią, tylko po prostu z pałą i podchodzi, powiedzmy podbiega taki Urka z obozu przeciwnego, podnosi ten koc i doładowuje mu, przy tym właśnie...

WK: Nożem.

JG: Nożem jeszcze. Nawet tak było, że wpadali do szpitali, gdzie już oni leżeli w łózkach i byli pod ochroną niby i też potrafili tam ich wykończyć na tym, na łózkach szpitalnych.

[5A, 00:20:00]

Oczywiście, te wszystkie rzeczy działały się pod wpływem też i pewnych narkotyków. Oni narkotyzowali się, tam powiedzmy oni nie w pełni byli powiedzmy, świadomi tego, co się dzieje. Byli zdecydowani na jedną rzecz. Ja widziałem tych ludzi, tak obserwowałem tych, którzy się poddawali tym narkotynom. Zresztą one tam były rozmaite, ja się specjalnie w tym nie, na tym nie wyznawałem, ale pamiętam takiego człowieka, który leżał jakiś patyk na podłodze i ten patyk jemu się wydawał, że to jest ogromna belka. I on przechodził przez patyk tak ostrożnie, jak przez belkę. Pod wpływem tych narkotyków podwyższał się apetyt. Chowano przed takimi na przykład chleb, bo potrafił pochłoniąć tyle chleba, że później umierał wskutek jakiegoś powiedzmy, czegoś w rodzaju skrętu kiszek czy powiedzmy jakiegoś przepchania. Więc oni byli pod jakimiś środkami narkotycznymi. To wszystko wykonywali, dlatego byli tacy bezwzględni. Nieraz powiedzmy trzęsący się pod wpływem tych narkotyków. Pamiętam, że wtedy rzadka, rzadki wypadek, wtedy wpuszczono do obozu... Więc jeżeli chodzi o te walki między poszczególnymi odłamami Urków, ja je odczułem również bezpośrednio na swojej skórze. To znaczy ja ich właściwie nie odczułem, mogłem odczuć. Muszę panu wyjaśnić, że będąc w stanie wycieńczenia fizycznego, takiego obozowego, odczuwałem jak inni w takich sytuacjach pewne takie odczucia agresywności. Taki (nz) jest bardzo, powiedzmy zły na cały świat. On by kasał, gryzł i przeciwstawiał się fizycznie powiedzmy każdej przemocy, ale nie może tego zrobić. Ja byłem w takiej sytuacji. I była, żeby opanować te walki, bo ja ciągle

mówię, w nawiązaniu do tamtych walk między tymi grupami Urków, żeby to opanować, po prostu władze postanowiły jedną z tych grup izolować w tym murze, w izolatorze i wywieźć z tego obozu, żeby nie było powiedzmy powodów do dalszych walk takich. Mieliśmy pecha, że ten nasz baraczek tych (nz), tych ATP, stał tuż obok tego muru. Oczywiście odgrodzony mur był jeszcze dodatkowo drutami. No, a ci świadomi, ci uwięzieni, świadomi tego, że ich będą wywozić, postanowili wydobyć się jeszcze na ten, do obozu poza murem i jeszcze coś sobie powiedzmy przygotować się do tego wyjazdu. To znaczy porabować sobie jeszcze na własne konto. Ponieważ nasz barak był najbliższy, więc to dotyczyło przede wszystkim naszego baraku. Te budowle to były drewniane, prawda? Te więzienia to były drewniane, i z Gliny, i powiedzmy z jakichś opilek robione. Tak, że to rozebrać nie było trudno, czy powiedzmy rozebrać dach z gontów. I oni tak zrobili, dziurę właśnie w suficie, w celi, wyleźli na dach, zdjęli gonty, wyszli z tego przez dach, zeskoczyli, przez druty przeszli, bo taka była sytuacja, że z tej strony nie było żadnej straży. A tam było osłonięte przez baraki od strony tych zewnętrznych wież i przeszli i przyszli do naszego baraku. Wykorzystali ten moment, wiedzieli bardzo dobrze o tym, że około godziny 12 w nocy.

[5A, 00:25:00]

Jak jest w kopalni, na kopalni te syreny wyją, zmiana tej załogi, na zmianę załogi, że wtedy do naszego baraku przychodzą ludzie, to znaczy górnicy czy ktoś, jacyś robotnicy powierzchniowi i przynoszą kłocę drzewa, które potrzebne były na rozpałkę, bo węgla dawali, było pod dostatkiem, ale drzewa nie było. I za to dostawał tam powiedzmy tej troszeczkę bałandy, która zostawała, nie wszyscy jedli ją. Jakies powiedzmy tam wynagrodzenie za to dostawał. No i właśnie o 12 jest ten sygnał, syreny wyją, puka taki jakiś facet, staruszek taki, (nz) ten dyżurujący, porządkowy w baraku, siedzi gdzieś tam, prawie drzemie. Pyta się: *Kto?* Mówi (nz), przynieśliśmy drzewo. No on naiwnie otwiera, a ci mu nóż pod ten, posadzili go tam na takim taboreciku w takiej kuchence. Tam była kuchenka, w takiej właśnie kabince i mówi: *Milcz i nie ruszaj się. Jak się tylko ruszysz albo piśniesz, to nie żyjesz.* Ten staruszek sobie spokojnie tam siedział. I teraz oni poszli przede wszystkim do tych kabinek. U nas były trzy kabinki i załatwili tych najbardziej bogatych, że tak powiem, tych najbardziej wpływowych. To znaczy brali wszystko. Ubiór, wyżywienie, pieniądze. Ja byłem najbardziej ubogim z tych wszystkich tam mieszkających. Po prostu praktycznie nic nie miałem, co można byłoby mi wziąć. Jak oni te kabinki obeszli, to musieli pójść do tego baraku ogólnego. No, ale tu już, prawda? Jest jakieś, ruszają się, coś, budzą się ludzie. Ja się zbudziłem i widzę, że chodzi taki

jakiś drżący, jemu ten nóż drży i (nz), wreszcie już widzi, że jest dosyć dużo ludzi, już się zbudziło, a im zależy na tym, żeby powiedzmy po kolei podchodzić do każdego delikwenta i rabować, co u niego jest. Więc mówią, żeby nakryć głowy kocem. A tu zagrała ta właśnie, ta złośliwość tego dochodiagi u mnie. Wiem, że ja nic nie mam. Położyłem ręce pod głowę i tak patrzę. I nie nakrywam głowy. Ja widzę, że on zwraca uwagę i nie wie, co robić. A jeszcze przed tym leżały okulary tam na tym, na widocznym miejscu, to je schowałem, żeby nie widział, bo okulary to znak, że to jest frajer, to jego nie trzeba się bać. Ja widzę taki efekt, że ten właśnie podchodzi do sąsiada, do tego Gusakowa...

[00:00:00] Gardynik_Jerzy_AW_I_0181_5B

JG: Co wspominałem panu o tym ze Lwowa, i mówi do niego *Baciak, kto to takoj*. Na mnie wskazuje, ja widzę. A Bacia ja nie wiem, czy ze strachu, czy powiedzmy z jakichś tam, mówi (nz). I on zrozumiał, że ja jestem z bandy urkowskiej. A to pod kocem nie widać, jaki fitil czy coś takiego. Widzę chodzi, chodzi, wreszcie do mnie podchodzi i spodnie wisiały tam na gwoździu, przy narach, przy tych, tych, przy tej pryczy i sięga do tych spodni. A ja jemu mówię (nz). A on nie ułatwia sprawy, ciągle mnie ma za jakiegoś Urke. I mówi (nz)? Ja mówię: *Niet*. (nz) u Urki, wie pan. Przyjął mnie wyraźnie na ten. I ja byłem jedynym nieobrabowanym, a w tych spodniach miałem jednego rubla. On by oczywiście tego rubla wziął, ale to była powiedzmy... A tych powiedzmy obrabował, tego. I później jak oni wyszli, było ogólne milczenie. Wszyscy byli tacy jak zbite psy, dali się obrabować. Chłopy jak dęby, a ja tak patrzyłem tylko tak, w razie, czego. Ja myślę sobie tak, ja nie mam nic. Tamci się nie ruszają, ale w razie, czego widzę, już tam na sąsiedniej pryczy była taka poprzeczka ograniczająca siennik i ona się odrywała tak i tak sterczał gwóźdź. Myślę, chwycę to, oderwę i tam mu powiedzmy tym gwoździem gdzieś po dupie albo po czymś i tak się skończy powiedzmy ta historia. Nikt się nie ruszył, ja się też nie ruszyłem, ale to wszystko wystarczyło na to, do tego, że oni mnie znienawidzili jeszcze bardziej. Przez to, że oni wszyscy stchórzyli no i powiedzmy, mieli mi za złe to, że ja się nie dałem obrabować, nie mając nic prawie. I to powiedzmy, takie rzeczy, na każdym kroku się odczuwało i było znów (nz). Niechęć jeszcze do powiedzmy, ten wypadek jeszcze bardziej rozbudował niechęć w stosunku do mnie. I tak, byłem właściwie tam w trzech obozach. Od 1945 roku do 1948 jak wspominałem, jak mówiłem o tym, na Rudnik, na osiedlu Rudnik, na tej najstarszej kopalni, kopalni numer 8. Później w 1948 roku, kiedy nas przeniesiono już do Reczłagu byłem na kopalni 7. To jest kopalnia oddalona no jakieś, ja wiem? No, jakieś około chyba 20 kilometrów na północ w rejonie tym rzeki już, gdzie rzeka

Ajaczagaw, wpada do rzeki Workuty. I później byłem na sąsiedniej też, ajaczegijskiej kopalni. To była kopalnia taka zespołowa numer 2, (nz) numer 2. No, kogo tam spotkałem z tych, no, ze Lwowa było stosunkowo mało ludzi. Tam przeważnie byli z Wilna. Ze Lwowa wozili przeważnie na południe. Mnie to przywieźli, jak panu mówiłem, z protekcji wielkiej, z tego paska na sprawie. No Pras był, Pras był już w późniejszym okresie aresztowany.

WK: On dostał katorgę.

JG: To proszę pana, na tym, na tej giełdzie, to drożało, w zależności od sytuacji. Ja dostawałem wyrok właściwie przed Poczdmem, a on dostał wyrok po Poczdanie. I gdybym ja był aresztowany później, to bym miał taki sam wyrok jak on. Był też jeden z żołnierzy Kedywu, dwóch było właściwie z Kedywu. To jest Janusz Butry i jeszcze jeden taki powiedzmy, typowy lwowski baciara, zapomniałem jego nazwisko.

[5B, 00:05:00]

Ze Lwowa był też Jurek Kowalski, Skorupa Kowalski, (nz). Jedno nazwisko było prawdziwe, a drugie było lewe. To był zastępca szefa Kedywu na miasto Lwów, porucznik. Mieszkał w Kędzierzynie. To ze Lwowian właściwie, kto tam jeszcze był? Aha, był ksiądz Mokrzycki, kapelan AK-owski, jezuita. Nawiasem mówiąc, jezuici, księża przyznawali, że im trudno jest rozmawiać z jezuitami, bo oni mają swój specjalny styl. To jest jednak, jak by nie było, ta policja właściwie kościelna, prawda?

WK: To jest mózg kościelny.

JG: Tak, tak. I jakie jest ich znaczenie? Proszę sobie wyobrazić, że w tym czasie, jak nas przenoszono, przed tym, zanim nas przeniesiono do obozów specjalnych, ich wszystkich zwolniono, niezależnie od tego, jakie oni mieli wyroki. To znaczy, jaka jest, powiedzmy, jakie są ich wpływy na system policyjny rosyjski nawet, wie pan. Nie wiem, w jaki sposób to się działo. Faktem jest, że wszyscy jezuici w odróżnieniu od innych księży nie jezuitów wyjechali w 1947 roku. I ksiądz Mokrzycki wtedy wyjechał. Był jezuita francuski, ksiądz Nicolas, który wkrótce po tym, prawda? Przez radio też słyszeliśmy, jego relacje z Workuty. Był ksiądz Leoni, świetnie mówiący po polsku. Tak mówił jak Polak rodowity. Oni wyjechali, inni księża zostali. Teraz powiedzmy księża inni właściwie. Była ich spora grupka. Oczywiście, z tych terenów

wschodnich, przeważnie z Wołynia, był jeden z Sambora, no ze Lwowa byli ci, ksiądz Mokrzycki. Inni księża, a właśnie oprócz Mokrzyckiego zostali tam, na Workucie. Oni dzisiaj już nie żyją, ale spełnili swoją rolę. Oni też tak samo jak my chcieli wyjechać do Polski, ale wobec nich były inne wymagania i z tych niedyskrecji, które ja wyczuwałem, wynikało, że to jest, to było robione za zgodą i na żądanie Watykanu. Im nie wolno było wyjeżdżać. Oni mieli zostać tam na misjach. Nie było księży i oni tą rolę spełnili do końca. I trzeba powiedzieć, że takim na północy, takim tym, który trzymał ten rygor, był ksiądz Drzepecki. Ksiądz Bronisław Drzepecki, administrator diecezji wołyńsko-żytomierskiej. Zresztą tam byli inni jego, po nim był ksiądz Lisowski, tak, czy Lisicki. Lisicki, przepraszam, ksiądz Lisicki, tak. Też później tam był na Workucie. Byli też księża jeszcze z tych, z tego poboru, że tak powiem, z lat 1940, 1941, 1939. Ksiądz zakonny, nie pamiętam, z jakiego zakonu. Nazwiska jego Kapusta. On już wyjeżdżał z oddziałami generała Andersa do Iranu, już był na statku i jego ze statku ściągnięto i dano mu dodatkowy wyrok. Wskutek tego był bardzo taki ostrożny. No, ktoś coś na niego doniósł. Nie wiem skąd to wszystko poszło. Był bardzo ostrożny. Księża, no właściwie takie postacie jak ksiądz Drzepecki, to mnie się mimo woli nasuwa analogia w stosunku do księdza tego, który poświęcił swoje życie dla jednego człowieka, prawda? Ksiądz Kolbe, tak?

WK: Maksymilian Kolbe.

JG: Maksymilian Kolbe, a oni poświęcili swoje życie dla wielu ludzi. Dla pozostałych i rzeczywiście dużo zrobili w tym względzie.

[5B, 00:10:00]

Ksiądz Drzepecki został aresztowany po raz drugi i w sposób sztuczny powiedzmy mu zarzucono, że zajmuje się jakimś handlem pokątnym czy powiedzmy gromadzeniem dóbr w nieodpowiednim zapasie, zbyt dużym zapasie. Tu chodziło o to, że on miał dosyć dużo świec kościelnych. No oczywiście, jak miał powiedzmy kościół, on gdzieś był na Syberii w tym czasie, w tych kościołach, które zostały po powstańcach polskich z 1863 roku bodajże albo może z 1831 roku. Nie wiem, w którejś ze znanych miejscowości syberyjskich. Do niego strzelano w czasie, gdy on odprawiał mszę świętą, strzelano przez okno i nie trafiono w niego. Trafiono natomiast w jakąś kobiecinę, która obok stała i ta kobiecina zmarła tam w tym kościółku czy w tej kaplicy. No, a ksiądz powiedzmy z racji tej swojej aktywności, został powiedzmy w ten sposób uhonorowany drugim wyrokiem i zmarł w obozie. Drugim takim na

południu był ksiądz Bukowiński. Ksiądz Bukowińskiego ja nie znałem. Znałem go tylko z listów księdza Drzepeckiego. Ksiądz Drzepecki dzielił się tymi wiadomościami. Zresztą był takim człowiekiem bardzo towarzyskim i dużym przyjacielem moim. Podobnie jak pan Galiński i niektórzy inni panowie, na przykład no ja teraz w dzisiejszej sytuacji powiedzmy jestem bliski tym ludziom, od których powiedzmy, byłem stosunkowo daleko, od Kazia byłem daleko dosyć w obozie, no. Czasem spotykaliśmy się tak na zasadach ogólnych, ale jeżeli chodziło o przyjaźnię, to były raczej powiedzmy ukierunkowane inaczej niż w tej chwili. Co tam można jeszcze powiedzieć o tych rzeczach takich powiedzmy, żeby nie przepuścić czegoś specjalnego?

WK: Czyli ci księża po prostu wypełniali rolę duszpasterską?

JG: Duszpasterską, misjonarską i spełnili swoją rolę. Już nie żyją dzisiaj, żaden z nich nie żyje. Spełnili ją do końca i to jest powiedzmy, to jest powód jakiegoś ich uhonorowania. Ja myślę, że kościół powinien to zrobić.

WK: Choćby były podobno nieliczne wyjątki, które nie sprawdziły się. Olek mi mówił o jakimś tam księdzu, któremu się zapasy żywności psuły, a nie podzielił się z nikim.

JG: Proszę pana, tak, były takie wypadki i nie chcę wymieniać nazwiska, znam ten wypadek, ale kwestia pewnych proporcji, wie pan, bo ten ksiądz został i spełnił swoją rolę. I na tym tle powiedzmy, taki incydent, powiedzmy pewna zachłanność. No ksiądz powiedzmy, taki przyzwyczajony do tych stosunków parafialnych gdzieś na Wołyniu czy gdzieś, powiedzmy.

WK: To się dostawał duże paczki od parafian dawnych.

JG: Tak, i powiedzmy tak postępował. Tak było niestety, ale wobec jego zasług ogólnych, to, że został i potrafił wypełnić swoje misje do końca, tego nie trzeba podkreślać. To były, to jest powiedzmy obniżanie wartości pewnej idei. Tak samo jak grzebanie się w sposób nieodpowiedni w tym powiedzmy, w jakichś powiedzmy, sprawach no bardzo smutnych, donosicielstwa czy coś takiego, bo każdy z nas...

WK: Uważam, że tego zatajać nie wolno. Nie wolno przerysować proporcji, jak słusznie pan mówi.

JG: Ale nie można tego... O, właśnie, nie wolno tego robić. A powiedzmy, często jest to przerysowywane i ja to oceniam czasem, jako pewną taką fobię niektórych autorów. Jak ja się, jak powiedzmy pisze pan Lisiecki czy coś takiego o sprawie Macielińskiego.

[5B, 00:15:00]

To w ten sposób, że może człowiek szlag trafić. Niby w obronie, ale to jest gmeranie się w brudzie.

WK: Panie Jerzy, proponowałbym, żebyśmy wrócili do wątku głównego, czyli do Reczłagu. Jeśli się nie mylę, to pan już jest w Reczłagu i jak to rzutowało na dalsze pana losy? Czy znacznie to pogorszyło? No, bo już pan miał funkcję zawodową ważną.

JG: No funkcja mnie, powiedzmy to, że miałem tą funkcję i tą specjalność taką deficytową, to mi ułatwiało i w sensie...

WK: Ale obóz to jest obóz, a pan idzie z obozu pod konwojem czy bez do miejsca pracy. To są dwie różne sprawy.

JG: Tak. Ja powiem tak, że obóz Reczłag był obozem mimo zamierzeń obostrzających, w moim odbiorze był, stwarzał sytuację korzystniejszą przez to właśnie, że Urków nie było. Że nie było powiedzmy...

WK: Że nie było świata przestępczego.

JG: Nie było świata przestępczego, że byli sami polityczni. I to już był powiedzmy...

WK: To zmieniało etos zachowania się wzajemnego?

JG: Tak, tak, z pewnością i to był wielki plus. No, powiedzmy w stosunku do Rudnika, no ciężko było w sensie tych rozwodów.

WK: Razwod?

JG: Tak, to przeprowadzanie na miejsca pracy. Kopalnie były daleko, trzeba było iść zimą w mrozach, w purgach tych. Mnie na przykład, ja pamiętam taki jeden, ten wieczór, kiedy nas prowadzono do pracy. Ja na odcinku chyba 2, może 3 kilometrów kilkakrotnie nos odmrażałem. I ten nos przez jakiś czas wyglądał u mnie zupełnie nieszczególnie. Przede wszystkim, później mi opuchł i później go leczyłem. Uratowałem nos odmrażając w sposób dotkliwy ręce później, ale nos uratowałem. Więc takie nieprzyjemności były. Później powiedzmy, przestrzeganie tego czasu rozrodu, no długie stanie przy tych liczeniach. Tego nie było na Rudniku. Na Rudniku myśmy właściwie chodzili pod konwojem więźniów. To znaczy więźniowie z paragrafów niepolitycznych podpisywali powiedzmy takie zobowiązania i wypełniali służbę konwojentów.

WK: Predurki, pan mówi o predurkach?

JG: No predurki to są raczej, to są raczej powiedzmy ci, którzy pracują w ciepłych miejscach. Ja na przykład byłem predurkiem według tych kryteriów. A to byli, powiedzmy już współpracownicy NKWD. Myśmy mieli takiego konwojenta, który się ciągle oskarżał przede mną, że jak on cierpi przez tą błąć. Ja się z początku pytam, co za, a okazuje się, że był w Polsce i zgwałcił jakąś kobietę. Aresztowano go i dano mu coś, 3 lata czy coś takiego za to. I on mówi, że przez tą błąć on musi teraz tak cierpieć. On nie rozumiał, prawda? I taki powiedzmy, taki Wasia był właśnie naszym konwojentem. Zresztą bardzo przyzwoicie się zachowywał. To znaczy wyprowadzał nas do pracy i przeprowadzał i gdzieś tam sobie spał, a wszyscy pracowali tam, gdzie trzeba było i to była odległość powiedzmy paręset metrów i nie było żadnych problemów, ale tutaj te przejścia do pracy, to rzeczywiście były uciążliwe. Chociaż na Szu-2, na tej trzeciej kopalni było o tyle lepiej, że nas nie prowadzono pod konwojem, tylko wybudowano korytarz. Taki ogrodzony, strzeżony powiedzmy przez wieże wartownicze i brygady w odpowiednim czasie przychodziły szybko powiedzmy przez ten korytarz. Tam były wyłożone chodniki takie drewniane, te trapy, jak oni nazywali i to było znacznie łatwiej. Natomiast na siódmej kopalni było fatalnie w tym względzie. No, oczywiście powiedzmy pierwsze dnię pobytu w Reczłagu były fatalne.

[5B, 00:20:00]

Był kompletny, totalny bałagan. Sprowadzili ludzi, ale nikt nie wiedział ilu tych ludzi jest, ile trzeba tego wyżywienia i powiedzmy na przykład walka o chleb, to była walka no w całym tego słowa znaczeniu. Przychodziło się do tego nariadczyka i żądało się chleba. A on mówił: *Wyście*

już wzięli. No to trzeba było tak jakoś powiedzmy manewrować, żeby wziąć albo siłą, albo chytrością albo czymś. I to był problem przez długi czas, no bodajże przez miesiąc. Oni nie mieli opanowanej sytuacji, a inni to wykorzystywali. Przychodzili dwa razy brali chleb, prawda? Ten, który nie zdołał, nie dostał nic. Więc to jest powiedzmy, to jest w warunkach rosyjskich, powiedzmy takie przemieszczenie, to w warunkach obozowych zwłaszcza, to powoduje takie rzeczy, że po prostu w głowie się nie mieści jak można taki bałagan wprowadzić. Pamiętam tego typu, to był nariadczyk, Rosjanin, podziwiam jego za siłę charakteru. On wszystko załatwiał operatywnie, tylko on był głuchoniemy. To znaczy on był niemy. Niemy, nie głuchoniemy, a niemy. I jeżeli się przychodziło do niego, to on mówił tylko *apapa, apapa*. I przychodziło się po chleb, a on mówił *apapap* i nie dawał chleba. Było *apapa* i dał. Więc ja zauważyłem, że on rozmawia. Ja mówię do takiego Polaka, tam gdzieś pracował na kuchni, z tej stałej, jeszcze starej załogi, starych więźniów, bo ich przerzucali też stopniowo. Przychodzili nowi, a starzy jeszcze zostawali i to był bałagan totalny. I on mówi, coś miałem do załatwienia właśnie w związku z tym chlebem i mówię, że on mi nie daje chleba i on z nim rozmawiał i on mnie polecił, że ja jestem człowiekiem, któremu można dowierzyć. Ja z nim rozmawiałem po cichu tak. Mówił: *Przychodź po ten chleb, to zawsze dostaniesz*. Jakoś żeby to, tą rzecz załatwić. Więc on przez szereg lat udawał niemego wypełniając swoje funkcje nariadczyka. Chłop był jak dąb, jak szafa. Nadawał się do łopaty, do kopalni i to było symulowanie, chronienie się przed pracą fizyczną. Na koniec jak już powiedzmy wyrok skończył, poszedł do naczelnika oddziału i zagadał do niego, podziękował mu (*nz*).

WK: Skończyło się *apapa*.

JG: *Apapa* się skończyło, ale szereg lat tę komedię odstawiał. To trzeba mieć powiedzmy dużą, dużą siłę woli, żeby się nie wsypać. Tak, że to są rzeczy takie.

WK: Który rok mamy teraz? Reczłag to jest, który rok?

JG: Reczłag to jest od jesieni 1948 roku do końca, do końca, właściwie do, bo kiedy się Reczłag skończył? Właściwie trudno powiedzieć.

WK: Chyba z buntem więźniów?

No, chyba z buntem, ale oficjalnych dokumentów na ten temat nie ma, prawda? On się jakoś rozpląnął, przynajmniej mi nie są znane te rzeczy. Ja proszę pana, aha, sprawa tych buntów. Oczywiście, związana ze śmiercią Stalina.

WK: A czy nie sądzi pan, że była to prowokacja NKWD-owska, bo jednoczesność wybuchu tych buntów na całym terenie Związku Radzieckiego, no daje wiele do myślenia.

JG: Z całą pewnością była, ale więźniowie mieli swoje interesy w tym, żeby tą akcję podjąć. I tak właśnie nawiążę panu do tego, chcę o tym powiedzieć. Proszę pana, tam była dostateczna ilość kapusiów na to, żeby rozszyfrować każdą rzecz średniej wagi, nie mówiąc o rzeczach powiedzmy małej wagi. A ta rzecz była jakoś dziwnie nierozszyfrowana.

[5B, 00:25:00]

Ferment trwał, mówiło się, właściwie już głośno się mówiło, a władze nie reagowały. Co więcej, brano do tych komitetów strajkowych jak największą ilość Polaków. *Chodźcie Polaczki, chodźcie*. Myśmy to analizowali, właśnie pan Galiński, ja, pan Pras. Bo wszyscy inni poszli hurra na to, bezpośrednio przyjęli to za dobrą monetę.

WK: A był pan tam Franciszek Król też?

JG: Pan Franciszek Król był też tam.

WK: Bo to już jest, o Szu-2 pan mówi teraz?

JG: Tak, bo to się działo na Szu-2 w 1953 roku ja byłem na Szu-2. I, ale ja byłem w tym czasie w szpitalu. Tak, że ja tylko powiedzmy w sensie takim konsultatywnym, ale nawet trudno mi było wyjść ze szpitala, bo nie pozwalali na to. Ale natomiast powiedzmy, jakąś część roboty w tym kierunku idącej zrobiłem, z panem Galińskim przede wszystkim to konsultowałem i mówię, że to jest właśnie podejrzane, to jest z pewnością gra w interesach rosyjskich, jakaś rozgrywka między nimi. I tak się okazało. To był gra komitetu centralnego przeciwko Berii. Oni bojąc się, że Beria chwyci ich za łeb i to jeszcze lepiej niż Stalin to robił, zaczęli mu robić bałagan w jego imperium, bo to było imperium w imperium przecież. On miał i własny

przemysł, własne wojska, łącznie z lotnictwem i bronią pancerną, tak? On miał władzę policyjną w całym kraju. No to była pierwsza potęga.

WK: Państwo w państwie.

JG: Tak i postanowili jego wykończyć właśnie od jego systemu wewnątrz i stąd to się wzięło. Stąd to się wzięło.

WK: Ja sądziłem, że to było raczej niedowartościowanie, uczucie niedowartościowania ze strony NKWD, które chciało właśnie udowodnić, że nadal jesteśmy potrzebni, nadal niezbędni. A czy ten ślad panu, nie przekonuje pana?

JG: Nie. Proszę pana, ja rozmawiałem w tej sprawie z ludźmi, których wyczuwałem, jako jednych z głównych prowokatorów tej sprawy na Workucie.

WK: Czy Polacy byli wśród nich?

JG: Nie, to był inżynier, nie pamiętam, jakiej specjalności. Ja go spotkałem na kopalni siódmej, siedziałem z nim w jednym pokoju. On był, pracował w planowaniu tamtejszej kopalni. Nazwisko Goriew, Goriew chyba, tak. Goriew, tak. I poza tym, takiego samego prowokatora miałem w swojej brygadzie, tej geologicznej na Szu-2. Pan Wiszniewski. I z oboma rozmawiałem w odpowiednim czasie na...

WK: Zaraz, mówi pan o Wiszniowskim czy Wiśniewskim?

JG: Wiszniewski, nie Wiśniowski, Wiszniewski, to był Rosjanin z Leningradu. To był Rosjanin. Nie Wiśniowski, a Wiszniewski. I po tym wszystkim, powiedzmy, jak żeśmy doszli do wniosku, że to jest prowokacja...

[00:00:00] Gardynik_Jerzy_AW_I_0181_6A

JG: Po tym wszystkim, powiedzmy, jak żeśmy doszli do wniosku, że to jest prowokacja ich, w każdym razie to jest działanie w imię jakichś powiedzmy frakcyjnych interesów między nimi, że nie wolno nam się do tego mieszać w sposób niewłaściwy. To znaczy sądziliśmy, że

korzystne jest wyciąganie Polaków z tych komitetów strajkowych i udział w strajku na ogólnych zasadach. To się w znacznej części udało. Nie udało się natomiast w stosunku do jednego z pułkowników armii kościuszkowskiej, który był traktowany przez tamtejszą brać, jako jakiś, no (nz), tak to trzeba powiedzieć i na tym tle miał swoje kompleksy. I on odmówił powiedzmy odejścia od tego. On był głównym takim przewodniczącym tego komitetu strajkowego workuckiego. Co się z nim stało, ja nie wiem. Może ktoś zna.

WK: Jak się nazywał?

JG: Właśnie, że nie pamiętam nazwiska. To był pułkownik Armii Berlinga. Wzięty powiedzmy do Workuty za jakieś tam, miał tam jakieś coś mu zarzucali, delegowali go niby na studia wojskowe w Moskwie i w Moskwie na dworu czekali, tam go aresztowali i zjawiał się w Workucie. Więc tego nie udało się odprowadzić od tego. Niektórzy już byli za bardzo zaangażowani i nie mogli powiedzmy zrezygnować ze swoich funkcji, ale stosunkowo lekko to przeszło. Taki powiedzmy, który swoją rolę spełnił, był Zwinogrodzki. On...

WK: On miał takie spontaniczne wystąpienie wtedy na tym...?

JG: Nie, to nie było spontaniczne, to było wystąpienie przygotowane. On wystąpił w imieniu wszystkich cudzoziemców. Jemu zwracaliśmy uwagę z Galińskim, on mówił, że nie, on się z tego wycofać już nie może. Trudno, on to rozumie, to może być racja, ale nie będzie ryzykował. Zaryzykował i jeszcze nie najgorzej na tym wyszedł, bez konsekwencji. W każdym razie, spowodowaliśmy to na kilka dni przed wybuchem tych strajków i konkretnie tą robotę wykonał pan Pras.

WK: Ale zaraz, zaraz, czy te strajki jakoś tak nabrzmiewały, były jakieś sygnały świadczące o tym, że one nadchodzą? Czy one wybuchły tak powiedzmy nagle, a vista?

JG: Nie, to był ferment długomiesięczny. Pamiętam, że już do nas przychodziły etapy, gdzieś z jakichś miejscowości, gdzie te strajki były.

WK: Chyba z Noryńska zdaje mi się.

JG: Tak, być może z Noryńska, ja nie pamiętam, z jakiej miejscowości. Gdzieś już były, gdzie oni próbowali rozładowywać te rzeczy. Tak samo zresztą z Workuty później przerzucali, bo to były rozmaite wątki działania ze strony NKWD. Była część NKWD, która działała w imieniu Berii, a część NKWD, która działała w imieniu komitetu centralnego. Ja widziałem tą różnicę bardzo wyraźnie. Ta Wochra, ta stała straż obozowa, zawodowa, to była raczej takiego profilu proberiiowskiego. Natomiast w Workucie stacjonowała brygada wojsk NKWD, takich z poboru, takich jak to KBW, coś w tym rodzaju. To po tym powstaniu w 1947 roku, to oni już powiedzmy tam, została...

WK: Jaki powstaniu w 1947 roku?

JG: Było, bo to jeszcze powiem, było. Oni zostali tam przerzuceni do Workuty i stale tam byli, jako rezerwa, ale oni później działali przeciwko Berii. To byli żołnierze, którzy strasznie, bardzo długo służyli. Byli tak pobór jeszcze z czasów wojny, kilka lat przeterminowaną służbę mieli i oni byli też opozycyjni żołnierze. Oficerowie też w jakiś sposób. Czuło się, że ci oficerowie raczej sprzyjają, oni siedzieli na tych wyżkach i pamiętam fotografowali to wszystko. Chyba do jakiejś sprawozdawczości gdzieś tam.

[6A, 00:05:00]

Fotografowali wszystko, co się dzieje w obozie w czasie tych strajków. Więc i między tą Wochrą, a tymi żołnierzami z poboru zawsze był antagonizm. To się wyczuwało.

WK: Czy była jakaś różnica w traktowaniu więźniów przez nich?

JG: Wie pan, to czasem były rzeczy indywidualne. Ci z poboru już w Reczłagu, to oni już prowadzali na te, do pracy i na ogół powiedzmy te rzeczy były poprawne, chociaż się zdarzało, że jakiś idiota z jakimś wyskokiem wyskakiwał. Ja pamiętam, że trzymano nas bodajże 2 godziny na mrozie przed bramą obozową, bo on zatrzymał tą całą kolumnę i kazał usiąść. Nikt nie chciał usiąść i on się tam wściekał i tego. Jemu tam ktoś odpowiadał czasem przez ty „ch” i tak dalej, ale nie mógł dojść do tego i trzymał złośliwie na tym. Tak, że to były rzeczy indywidualne, ale z drugiej strony na przykład ja pamiętam chłopca, który mnie konwojował na tak zwaną wolność. To znaczy wziął mnie z obozu i prowadził do tej komendantury, gdzie ja tam miałem wolność załatwiać. Więc on z początku szedł za mną, tak jak to konwój powinien

iść, ale później, jak już oddaliliśmy się od obozu, to szedł razem ze mną i pytał się. Był zaintrygowany, kto ja jestem, za co, jak to było. Widać, że miał jakieś informacje o tych nieprawidłowościach. I ja mu wyjaśniałem te wszystkie rzeczy, dawałem mu przykłady. Powiedzmy, no myśmy byli tymi ugrupowaniami wojskowymi, partyzanckimi, konspiracyjnymi, które były niewygodne Stalinowi i za to siedzimy, nie za jakieś przestępstwo, tylko za to, że byliśmy polityczni, niewygodni. A sprawy były robione i sztuczne, dawałem mu przykład swój. Dawałem mu przykłady na ogół innych Litwinów czy Łotyszy. No byli ludzie wychowani zupełnie w innym duchu, dlaczego się żąda od nich tych kryteriów powiedzmy i takiego postępowania tak zwanego radzieckiego człowieka. To nie są radzieccy ludzie i nigdy nie byli i nie będą. On przyznawał rację, tak, tak. Widać było, że on był powiedzmy tego. I był taki moment, mnie uprzedzano: *Uważaj, bo tam jest taki rudy, były śledczy, którego na Workutę wysłano karnie za robienie spraw*. Już wtedy, już zaczynali to powiedzmy prześladować. On był tam niedługo u nas i właśnie za podkładanie broni. I ten chłopak stoi przy mnie, te moje akta rozwija i mówi (nz). A ja mówię: *Tak, było, ale podłożone. Jak to podłożone?* Mówi. A ja mówię do niego: *A co to wy nie wiecie, jak to się robi? Przecież wy za to tutaj jesteście. Was tutaj skierowano za to, żeście takie rzeczy robili*. Jak makiem zasiał, nikt nie powiedział ani jednego słowa, tylko dał mi do podpisania jakiś dokument. Ja się patrzę, że to jest dokument na osiedlenie dożywotnie. Ja mówię: *Ja tego nie podpisuję. Ja w wyroku mam osiedlenie pięcioletnie. To nie ma znaczenia, podpiszecie, nie podpiszecie*. I schował to. *I tak będziecie siedzieć do końca życia, tyle tego*. Ale ja wtedy patrzyłem na tego chłopca, tego, który powiedzmy już nie był ich. On służył, prawda? Nie był ich i on z takim wyrzutem, że ja jego okłamałem i ja wtedy mówię, w tym momencie, kiedy ja do niego mówię: *Przecież wy wiecie jak to się robi i za to wy tutaj siedzicie*. I jego twarz rozjaśniała, tego żołnierza. To byli, więc to był ten element już też miał tego wszystkiego do syta. Ich trzymali bardzo długo w wojsku. Nie pamiętam, w każdym razie to chyba do 10 lat dochodziło, jak wyrok. To było jak wyrok.

[6A, 00:10:00]

No i to powiedzmy z tych rzeczy takich powiedzmy końcowych. No, oczywiście, po wyjściu z obozu ja miałem się zgłaszać tam do tej komendantury, co jakiś czas, nie pamiętam teraz, czy to było, co tydzień, co dwa tygodnie, zameldowywać się, odmeldowywać się.

WK: Zaraz, to kiedy pan wyszedł? Jak to się odbyło? Czy pan nie przeskoczył jakiegoś etapu?

JG: Ja przeskoczyłem. Ja miałem wyjść w marcu 1955 roku, a wyszedłem w listopadzie 1954. To wskutek zaliczeń.

WK: Zaczotów?

JG: Zaczotów, tak. Bo ja miałem, pracowałem, jako, liczyłem się, jako pracownik podziemny, górnictwa podziemnego i tam te zaczoty były. Tak, że zyskałem na tym trzy miesiące, nie za dużo, no ale powiedzmy... Tak, że ja właściwie według tego wyrok odbyłem do końca, bo Kaziowi zmniejszono czy coś takiego. Oni mieli większe wyroki. Faktycznie, to się wszystkim skończyło na 10 latach. Więc takie rzeczy. Aha, jeszcze powiedzmy, jeżeli chodzi o te wypadki w 1953 roku. Więc chociażby śmierć Stalina, pamiętam te komunikaty, które podawano przez radio. Myśmy wszyscy już tak w napięciu czekali, za dużo się na ten temat nie rozmawiało, tylko między bardzo zaufanymi. No, ale kiedy on wreszcie zdechnie, ta swołocz. No i Lewiatan coraz bardziej tragicznym głosem ogłasza, że sytuacja, jaka jest sytuacja ze zdrowiem Stalina. I już w tym, tego wieczora, nie, następnego dnia rano, wcześniej, właśnie po północy miał podać ten ostateczny komunikat. Czuło się, że to już jest, to jest kwestia godzin. Nikt nikomu nic nie mówił. Baraki były zamykane na kłódki oczywiście, tam powiedzmy wszyscy leżeli na narach i nikt nie spał. Czuło się to, wszyscy jak czekali na komunikat. No i wreszcie po północy, nie pamiętam, to było grubo po północy, znów głos Lewiatana i donosi, że wódz umarł. Taka cisza i nagle tak jak grom (nz). Akuratnie głos prowokatora. Zupełnie jednoznacznie, to był gospodarz baraku. Przeważnie to byli powiedzmy ludzie na usługach, ten był bardzo wredny i to była oczywiście prowokacja obliczona na to, że ktoś jeszcze wypowie się na ten temat jakoś. Nikt nie zareagował na to. No i już potem, powiedzmy te powiedzmy, to rozluźnienie było bardzo oczywiste, powiedzmy te przygotowania, te rozmowy o formowaniu komitetu ogólnego, narodowościowych takich komitetów i tak dalej. A tą sprawę, jeżeli chodzi o Polaków, to załatwił właśnie, jak panu mówiłem, pan Karol Pras. Pan Król zgłosił się do niego z jeszcze innymi, jako powiedzmy przedstawiciel tego komitetu polskiego działającego w podziemiu, przynajmniej on tak myślał. Oni chcieli mieć kogoś, kto by firmował na zewnątrz. Zwrócili się do pana Prasa, a pan Pras już wiedział, w czym rzecz. Powiedzmy oceniał tą sytuację tak, jak Galiński i ja i jednoznacznie na ten temat, w tym zakresie mógł zareagować. Powiedział im: *Dobrze, ja przyjmę tę funkcję na siebie, ale wy wypełnicie bezwzględnie to, co ja zażądam, co ja będę żądał, co ja wam nakażę.* Zgodzili się na to. I on pierwszą rzecz, którą im powiedział: *Wycofujecie się z komitetów organizacyjnych.* No i wycofali się, powiedzmy w

znaczej mierze. Tak, że powiedzmy tam i w jaki sposób to się odbywało? Sygnalizacja na przykład była umówiona. Kopalnia za kopalnią stawała, to widać było.

[6A, 00:15:00]

WK: Koło się przestawało obracać.

JG: Tak, tak, to był sygnał.

WK: Na wieżę wyciągany?

JG: Tak, tak, to był sygnał i tylko patrzyli, obserwowali z kopalni na kopalnię i sąsiednie kopalnie powiedzmy w ten sposób współdziałały. W tym, że powiedzmy... Tak, jeżeli chodzi o sprawy wyjazdowe. No, jak mówiłem...

WK: A jeszcze niech pan dokończy sprawy tego buntu, strajku.

JG: Tak, i powiedzmy po tym, oczywiście Polacy się wycofali z tych komitetów. Braliśmy udział na ogólnych zasadach w tych pracach.

WK: Była to słuszna postawa? Czy ona czymś zaowocowała?

JG: No, naszym powiedzmy motywem działania było to. Mamy walczyć nie o cudze sprawy, a o swoje sprawy. A naszym zadaniem na tym etapie jest wywieźć zdrowe głowy do ojczyzny, a nie walczyć za interesy frakcyjne partii bolszewickiej, to tak to się nam przedstawiało. I tak to powiedzmy było wykonane. No, tam były rozmaite perypetie w czasie tego strajku. W momencie, gdy załoga pierwszej tej zmiany, która podjęła strajk, wracała, na wachcie oddzielano ludzi według pewnego klucza. To już było widać bardzo dobrze, jak oni się orientują, kogo brać, tak. Wobec tego padło żądanie po jakimś czasie: *Zwolnijcie tych ludzi, a jak nie, to weźmiemy ich siłą.* To znaczy obiecali im rozbić ten bur. Tamci byli przygotowani, że to się stanie o jakiejś godzinie, jeżeli ich wcześniej wypuszczą. Tymczasem, naczelnik obozu, major Szewczenko obiecał, że wypuści ich, ale o jakiejś innej godzinie. Tamci się niecierpliwicko i nie było sposobu przekazania im wiadomości, że to będzie parę godzin później. Strażnik zrobił, no nieopacznie z jego punktu widzenia rzecz, że w pewnym momencie kazał

wynieść kible, jak to się zwykle wynosi, z buru. Więc korzystając z tej okazji, ci runęli, rozbili tam powiedzmy inne cele i zaczęli uciekać w kierunku obozu. I wtedy z tych wież wartowniczych dookoła obozu zaczęli strzelać. Z tym, że mam wrażenie, że było to strzelanie raczej na postrach, bo nikt z uciekających nie został trafiony. Natomiast były dwie ofiary, dwóch zabitych. To był Litwin, który w tym czasie siedział przed barakiem i czytał książkę jakąś. Jego jakaś kula zabłąkana trafiła, w pewnej odległości od buru, dosyć wyraźnej. A drugi leżał na narach bodajże w tym, leżał na pryczy w baraku, a to jest przecież glina i powiedzmy jakieś opiłki i ta kula jednak przeszła przez to i zabiła go po prostu...

WK: Przypadkowo.

JG: Przypadkowo. I to były dwie ofiary, które były na Szu-2. I w tym sensie nie można wierzyć innym, którzy piszą na przykład 13.

WK: No konkretnie w książce pana Karola Prasa jest bodajże ta przesadzona cyfra.

JG: Tak, tak, z całą pewnością. Dlaczego nie wolno pisać? Dlatego, że oprócz nas, z pewnością byli tam inni: Litwini, Łotysze i tak dalej. Też mogą coś napisać i powiedzmy taka rzecz, gdzie figuruje 13, a oni wiedzą, że było 2, to już jest w całości niewiarygodna. I nie można przesadzać w tym.

WK: Ale nie we wszystkich łagrach workuckich tak się ślicznie skończyło.

JG: Nie, nie. Ja mówię o tym Szu-2. Były dwie ofiary. Były też obozy, że nie było ani jednej ofiary, natomiast na sąsiedniej kopalni przez rzekę sąsiadującą z nami, to była kopalnia 25 bodajże, 25.

[6A, 00:20:00]

Tam doszło do strzelaniny na wielką skalę i tam było ofiar grubo ponad setkę. Trudno powiedzieć dokładnie ile, ale z ilości powiedzmy trumien wówczas przygotowywanych, bo wtedy już w trumnach chowali, nie tak powiedzmy z etykietką na...

WK: (nz) na tym dużym palcu.

JG: Tak, na palcu. Tak, więc wynikało, że było około 150. Ilu tam było, nie wiadomo, bo zaraz po tej strzelaninie podjechały kolumny samochodów i wszystkich więźniów stamtąd wywieziono, przypuszczalnie za Workutę gdzieś, do innych obozów. Tak samo jak tamci trafiali do nas powiedzmy z innych obozów przed tym.

WK: A nie ma prawdopodobieństwa, że dokonali egzekucji?

JG: Nie ma na to wskazań. Powiedzmy, nie ma żadnych powiedzmy dowodów na to. To, że strzelano do ludzi, owszem, to jest powiedzmy co, na to jest świadków dużo. Przede wszystkim, z naszego obozu.

WK: Taka egzekucja chyba by się wykryła jednak?

JG: Wie pan, trudno...

WK: Czy jeszcze mogło być zatajenie?

JG: Ja nie wykluczam takiej możliwości, ale nie mam żadnego dowodu. To jest możliwe do przeprowadzenia. To jest możliwe zupełnie do przeprowadzenia, zwłaszcza na takim bezludziu, jakie tam jest. Oni kiedyś egzekucje takie masowe przeprowadzali. Ja je znam tylko z opisów poprzednich więźniów, ale o tych egzekucjach było wiadomo, było wiadomo. Kiedyś były strajki związane z żądaniem praw politycznych, więźniów politycznych dla tych trockistów, jeszcze przez 1939 rokiem.

WK: Pan coś wspomniał o roku 1947 i miał pan coś powiedzieć na ten temat. O buncie w 1947 roku.

JG: Tak. Proszę pana, obok Workuty budowano odnogę linii kolejowej, odnogę od linii kolejowej Kotłas-Workuta w kierunku na Ural. Przez Ural do Salechardu, to już jest po azjatyckiej stronie Uralu. I tam zresztą miejscowość może znana, czyta pan nieraz etykiety na konserwach rybnych, Salechard. Tam były wielkie zakłady rybołówstwa morskiego. I to była bodajże, nazywało się 503 strojka, czy 501 strojka, nie pamiętam, budowa 501 czy 503, nie pamiętam dokładnie. I tam nastąpił, miał miejsce bunt organizowany przez oficerów

kontrwywiadu rosyjskiego. To znaczy oni fachowo to robili. No, bunt, który bardzo krwawy. Ponoć to się rozegrało w ten sposób, że oni poznali rozkład ich zajęć, kiedy oni chodzą do łaźni. Stwierdzili, że prawie całe te siły ich w łaźni są w pewnym momencie. Więc dokonali powiedzmy, opanowali jakoś powiedzmy przejścia przez druty, po prostu zaatakowali te wieże wartownicze. Jak oni to zrobili, nie wiadomo. W każdym razie weszli do ich koszar, wzięli broń, poszli w stronę łaźni, wystrzelali całą tą załogę. I poszło to wszystko ogólne powstanie na tym stosunkowo, w tym stosunkowo nielicznym obozie. Mieli nadzieję przerwać się w stronę Workuty, gdzie już był setki tysięcy więźniów i tam wzniecić powstanie. Władze sobie poradziły w ten sposób, że samoloty, NKWD miało swoje lotnictwo. Samoloty ich zaatakowały z tego, z powietrza. Oni byli bezbronni i oni zlikwidowali ten bunt. Natomiast jakieś odpryski, nieduże grupy przez tundrę przedzierały się w stronę Workuty. Tutaj wykorzystano znów Urków.

[6A, 00:25:00]

Uzbrojono Urków, dano im broń. Pamiętam te oddziały, jak one przychodziły przed naszym obozem. To znaczy w ubiorach więziennych, tylko bez jakichś oczywiście numerów, bo w ogóle wtedy jeszcze numerów nie noszono w tych obozach ogólnych. W nowych tych łachach obozowych, uzbrojeni powiedzmy tak, jak normalny żołnierz i oni tak powiedzmy oddziałami przychodzili w tundrę i tam powiedzmy wyławiali tych, oczywiście z udziałem Wochry, również tych żołnierzy, tej służby wewnętrznej obozowej. Opowiadali mi niektórzy wiertnicy, którzy wiercili tam w tundrze, że gdzieś przychodził na przykład taki Wochrowiec i przyprowadzał skrupowanego człowieka. I gdzieś go tam rzucał w tym, gdzieś powiedzmy na podłogę, związanego i siadał z tymi żulikami, bo na tych wieżach to było same żuliki i pijactwo. Siadał z nimi grać w domino, a czekał na kogoś tam i tam mu odgrażał: *Ty wiesz, co z tobą będzie*. Prosili go tamci ludzie, żeby odwiązał, że człowiek. Nie, nic podobnego. Oczywiście, rozstrzelali tam na miejscu takich. Tak, że powiedzmy te sprawy i mnie się kojarzyło właśnie ta sprawa przyspieszenia obozów specjalnych właśnie z tym buntem w 1947 roku. Jak, nie pamiętam, czy to był 1947 czy to może był 1948.

WK: Ja słyszałem, że to tak 8/9.

JG: Co 8?

WK: To znaczy utworzenie Reczłagów.

JG: Nie, Reczłagi utworzone zostały jesienią 1948. Pierwsze Reczłagi, ale to było przed utworzeniem. To mogło być latem 1948 albo latem 1947, nie pamiętam dokładnie tej daty. To by trzeba powiedzieć jakoś bliżej się nad tym zastanowić, ale w każdym razie ten bunt został zlikwidowany. Ja też dziwiłem się, ci oficerowie kontrwywiadu siedzący tam w obozie, byli dosyć ruchliwi i trzeba powiedzieć, że między NKWD, MWD, MGB a kontrwywiadem wojskowym, był szalony antagonizm. Oni z chęcią sadzali tych wojskowych z kontrwywiadu, z kontrrazwiedki, ze Smierczu. I w pewnym momencie zauważyłem, że koło mnie się kręci oficer właśnie takiego, tego kontrwywiadu. Ukraińiec z pochodzenia, bardzo powiedzmy taki uprzejmy i powiedzmy na pierwsze wrażenie Europejczyk. Koło mnie, koło Galińskiego, koło innych i wreszcie ja kiedyś mówię o takich rzeczach, światło gasło bardzo często na kopalni. I wtedy żołnierze z tych wyżek wystrzeliwali rakiety, żeby to oświetlić teren, ale to dawało małe rezultaty. Później się okazało, że to było związane z przygotowaniem się do ucieczki właśnie oficerów kontrwywiadu.

[00:00:00] Gardynik_Jerzy_AW_I_0181_6B

JG: Kontrwywiadu. I w pewnym momencie ten oficer podchodzi do mnie i proponuje mi ucieczkę razem z nimi. Rozmawialiśmy długo poprzednio, on po prostu mnie badał. Tam nie wiem o co mu chodziło, ale boję się, że mogłem odegrać rolę jakiejś ofiary, wie pan, w tej sprawie czy powiedzmy pierwszy, który na żer by oddali w razie czego czy... Nawet były takie wypadki, że w czasie ucieczki brano żywy zapas mięsa.

WK: Konserwa chodząca?

JG: Tak, tak, konserwa chodząca.

WK: A pan był aż tak tłusty.

JG: Nie, ja nie byłem. Jako konserwa właśnie dziwiłem się, nie byłem taki tłusty. Dlaczego oni się zwrócili do mnie? No może, może mieli szczerze zamiary, nie wiem, ale ja mówię, że: *Proszę pana, w tej sytuacji mnie nie zadowala to, że będę się gdzieś kręcił po Rosji. To nie jest dla mnie żadne rozwiązanie. Ja bym musiał być w Polsce. Wy tutaj powiedzmy w swoich warunkach*

to możecie to w swoim kraju tak czy inaczej urzeczywistniać, a ja z tego żadnej satysfakcji nie będę miał. Prosił, żeby o tym nic nikomu nie mówić. Ja jednak powiedziałem Galińskiemu, bo musiałem komuś powiedzieć na ten, na wszelki wypadek, bo taką propozycję się tego. I później mu powiedziałem, że ja powiedziałem jednemu człowiekowi, Galińskiemu, a to jest człowiek pełen, on miał do niego duże zaufanie. On też powiedzmy penetrował i Galińskiego i nie wiem, jakoś tak do nas się dosyć powiedzmy, no może jakąś sympatię czuł, a może miał jakieś interesy, nie wiem.

WK: Słyszał pan o udanych uciezkach z Workuty?

JG: Właśnie ta była udana.

WK: Która?

JG: Ta, o której mówię, chcę powiedzieć, dokończyć. Proszę pana, te światła gasły w tym momencie, oni wyłączali i wykorzystując warunki terenowe, płynął tam strumyk, strumyk, który był zasypany, obudowany obudową górniczą, a na to nasypane były trociny, bo tam nie wiadomo było co z tym trocinami robić, to po prostu zgarnięto to w koryto tego strumyczka, zabezpieczono strumyczek obudową i tam był...

WK: Warstwa izolacyjne.

JG: Tak i oni tam, w tych trocinach zrobili sobie komory takie, obudowali. Wyłączali światło i wtedy znosili tam co trzeba im na ten. I oni w momencie pozorowali ucieczkę w tym sensie, że kręcili się koło pociągu, które tam wjeżdżały pociągi przecież, żeby węgiel, prawda? Wywozić w wagonach. Tak, że ich odpędzano i pozorowali to, że oni jadą tym pociągiem czy coś takiego, czy uciekli w ogóle pociągiem. I te poszukiwania trwały, a oni siedzieli tam w tej komorze przez bodajże prawie 2 czy 3 tygodnie. Z tym, że jak się okazało, mieli mundury wojskowe, oficerskie. Współdziałała chyba z nimi ta kontrrazwiedka, przeciwko tym, przeciwko NKWD. Mieli papiery, bardzo dobre dokumenty. Jakim sposobem oni wyszli stamtąd, to już nie wiem. W każdym razie wyszli stamtąd już po okresie największych poszukiwań i po prostu wyjechali z Workuty pociągiem, z dokumentami, jako oficerowie powiedzmy. I jeden miał pecha. Właśnie ten, który mi to proponował. Zasłabł gdzieś na ulicy, zachorował. Wzięli go nieprzytomnego do szpitala. I w szpitalu stwierdzili, że to jest oficer z

jakiejs jednostki na Syberii. Jest ten zwyczaj, sprawdzali, dali znać, że wasz oficer taki a taki jest u nas. Tamci stwierdzili, że takiego oficera nie ma.

[6B, 00:05:00]

I tak po nitce do kłębka doszli, aresztowali go i przywieźli go na Workutę. Widziałem go, jak przechodził. Nie tego, ja się mu ukloniłem, on się mnie uklonił. On był pod konwojem, ale jakoś się nie bałem tego. I zaprowadzili go do dyrektora kopalni. Nie wiem, czy tam było jakieś śledztwo czy coś takiego. W każdym razie tamci gdzieś pozostali w kraju, a tego tutaj przywieźli, ale to była ucieczka udana. Ucieczka właśnie taką drogą pomoc w dokumentach, w umundurowaniu, w jakichś innych rzeczach, to miało powodzenie, bo proszę pana uciekać w sposób powiedzmy taki bezmyślny, prymitywny, to pierwszego pan jeńca napotkał, to od razu pan wiedział, że NKWD jest za panem za kilka godzin. Albo go zabić, albo iść dalej i co? Zabijać wszystkich po kolei?

WK: Irys opowiadał o bardzo ciekawym projekcie ucieczki, we trzech: Irys, jakiś biały oficer, no i Mościcki. No, z tym że w wersji Mościckiego, to tak na jego styl opowiedziane, że się udała i tak dalej, i tak dalej. Jakies tam no, nieprawdziwe rzeczy. A według wersji Irysa, no to ona nie doszła do skutku, że przed dokonaniem tej ucieczki ich rozesłano po innych obozach. Rutynowo jakoś tak.

JG: Tak, tak. Proszę pana, jeszcze pan mi przypomniał pewien moment związany z pobytem w obozie przesyłowym na ulicy Pełtewnej we Lwowie, właśnie przez tą panią lekarz. Ona mówiła: *No, my będziemy starali się panu pomóc.* Ja mówię: Co możecie mi pomóc? *To jest jasne, że tak czy inaczej musimy kiedyś jechać. Nie ma innej rady. Nie proszę pana, pan się myli.* Ja później doszedłem do tego, o co to chodzi. Tam pracował taki monter dla spraw wodociągowo-kanalizacyjnych, który pracował w szpitalu kolejowym, tam gdzie ja byłem kierownikiem tego, gospodarczym. I on mi puścił troszeczkę farby. On jako monter kanalizacyjny miał prawo schodzenia do kanałów. Pod tym płynęła Pełtew, ale Pełtew była przegrodzona solidnymi kratami. Kraty były sprawdzane i krat nie można było ruszać, natomiast nasi chłopcy od strony miasta wyjęli, wyjmowali z obudowy kamień i za obudową drążyli chodniczek za to miejsce za kraty. To musiało być odpowiednio daleko, żeby nie było widać tego ze strony powiedzmy tej kontrolowanej, od strony krat. Dlatego te prace długo trwały i w odpowiednim momencie miało uciec około 200 ludzi, 100 kilkudziesięciu w każdym

razie i ja byłem przewidywany w tej ucieczce. No, nie doszło do tego, bo jak mówiłem, mnie wywieźli wcześniej, a w ogóle ucieczka była udana później, ale w znacznie mniejszym zasięgu. Nie objęła takiej ilości ludzi. Po prostu jeden z tych, którzy decydowali kiedy rozpocząć to, dał sygnał o nieodpowiedniej porze, bo został zagrożony chyba etapem. I to w pewnym sensie postąpił egoistycznie. Tak, że do momentu wieczornego sprawdzania stanu więźniów, zdołało uciec bodajże 30 kilku ludzi. Powodzenie wycieczki, ucieczki w szerokiej skali było uwarunkowane odpowiednio wczesnym rozpoczęciem tej akcji, to znaczy rano, po rannej prowierce do końca dnia, z uwzględnieniem tych warunków, żeby nie było tłumu, żeby to nie było powiedzmy podpadające. Obliczane, że 100 kilkudziesięciu ucieknie. Niestety, uciekło tylko 40. Z tego część jednak Rosjanie chwycili. I znów, ten porucznik Michał Janiak, ten komendant, o którym panu opowiadałem, przy akcji Burza, komendant na Lewandówce też się znalazł tam i też przez Józefę.

[6B, 00:10:00]

To znaczy on był komendantem tego rejonu po mnie, już połączonego, jego rejonu i mego rejonu. On to przejął i przejął z tym Józefą. Józefa go doprowadziła do tego, że zresztą mnie to też proponowała, tylko ja na to nie szedłem, do przerzutu broni, prowokowała. I on się dał na to nabrać i jego po prostu chwycono na ulicy, z całą powiedzmy, podczas tej akcji przerzutu, niepotrzebnego przerzutu broni. I ten właśnie był na tyle naiwny, że ponoć skontaktował się znów z Józefą i został aresztowany w domach gdzieś kolejowych na Grodeckiej po raz drugi. Nie wiem jaki jego dalszy los był.

WK: Dobrze, a teraz wróćmy do Workuty. Jak wyglądało pana uwolnienie i wyjazd?

JG: Proszę pana, siostra moja wyrabiała tutaj cuda w Polsce. Pisała do wszystkich możliwych instytucji, i polskich, i rosyjskich, łącznie z tym, gdy (nz) gdzieś przejeżdżał tam na trasie, doskoczyła do jego samochodu i podała mu podanie. On to od razu oczywiście została otoczona co, jak, gdzie, ale podała. Musiała się z tego tłumaczyć, podała, powiedziała, że podała podanie w sprawie brata, który przebywa w Rosji. Ja pierwszą rzeczą, którą zrobiłem po wyjściu, od razu zacząłem bombardować żądaniem ponownego rozpatrzenia sprawy wskazując na to podłożenie broni, na rolę fałszywego świadka Jekiela, na nieprawidłowe prowadzenie śledztwa, to znaczy bicie i tak dalej, a to wtedy było bardzo modne. I to chyba miało szansęchwycenia. W każdym razie ja dostałem zawiadomienie, że sprawa moja została przekazana do prokuratury

wojskowej przykarpackiego okręgu wojskowego. To znaczy tego okręgu, który ma swoje dowództwo we Lwowie. I proszę pana, wkrótce po tym dostałem paszport, zagraniczny paszport sowiecki na indywidualny wyjazd. To były, takich wypadków było cały szereg na Workucie. Przede mną wyjechał bodajże Duźniak na tej podstawie. Pani...

WK: Stenia?

JG: Stenia, Duźniak Stenia i pan, och, zapomniałem nazwiska, jeszcze jeden pan też, jakiś kwatermistrz z jakiejś brygady wileńskiej. Zapomniałem jego nazwisko, a ja, przede mną pojechali, jeszcze nie pamiętam kto, ci którzy dostali paszport razem ze mną. Mnie ten paszport jakiś czas przetrzymywali, bo chcieli ode mnie łapówkę wyłudzić. Nie wiem, chyba tamci dali i pojechali prędzej. Ja pojechałem po nich może jakieś 3 tygodnie czy coś takiego, czy 2 tygodnie.

WK: Musiał pan łapówkę dać?

JG: Nie, nie dałem. Natomiast dzwoniłem przy tym łapówkarzu do jego naczelnika w Syktywkarze, to jest stolica Komi republiki i tamten mówi, że ja przecież dawno to przekazałem, a on tamten mówił, że ja tego, jemu jeszcze nie doszło. No to ja już poszedłem następnym razem dzwonić do tego samego naczelnika, jeszcze raz z poczty. Bez obecności tego majora. I przychodzę z tego: *A właśnie przyszedł*. Mówił i wydał mi dopiero wtedy.

WK: O tym łapówkarzu to ja w paru, w dwóch czy w trzech relacjach słyszałem.

JG: Tak, tak, to był łapówkarz, no pijaczyna taka, wie pan. On chyba był zawsze pijany. Tak, że powiedzmy to mnie chyba ułatwiło. Aha i do tego rozpatrzenia tej sprawy nie doszło. Może rozpatrywali już to poza mną, nie wiem jakie są rezultaty, ale na tym mi już nie zależało. Znalazłem się w kraju na paszporcie Majakowskiego, prawda? Później miałem problemy z tym jak to się pozbyć, poszedłem do konsulatu w Krakowie, proponując im zmianę obywatelstwa niby formalnie, bo mnie wypuścili jako obywatela sowieckiego.

[6B, 00:15:00]

WK: A pan podpisywał jakieś obywatelstwo?

JG: Nie, nie podpisywałem nigdy żadnego obywatelstwa, tylko oni nas sądzili wszystkich jako zdrajców ojczyzny, prawda? W tym i to powiedzmy w dokumentach to figurowało. Czy pan podpisywał, czy pan nie podpisywał, to było wszystko jedno. Wziąłem ten dokument, bo uważałem, że to jest jedyna szansa znalezienia się w Polsce, a później będę się starał zrobić z tym coś, jakoś się pozbyć tego paszportu. Byli ludzie, którzy nie przyjęli tego. Na przykład był pan, sekretarz generalny związku legionistów, mecenas warszawski, pan Baliński. On był w czasie okupacji związany z Wilnem, tam go aresztowali w Wilnie. On nie przyjął tego dokumentu, wyjechał na Krym i tam po jakimś czasie zmarł, nie wrócił do kraju. Gdyby został na tym miejscu, może by transportami pojechał, bo były transporty.

WK: W ramach jeszcze repatriacji.

JG: Tak, ale ponieważ był oddzielnie tam i to tak swoją sprawę pogrzebał. Ja natomiast tutaj starał się to zrzucić z siebie. Był bardzo ten urzędnik rozgoryczony, że jak żesz wszyscy na świecie proszą o obywatelstwo, a oni nie dają, a ja mam i chcę się pozbyć i takie bzdury. Więc po pewnym czasie pisze do mnie Zubówna, że w Pszczynie przyjmują te dokumenty. Pojechałem tam i oddałem ten dokument, dostałem kartę repatriacyjną. Nawiasem mówiąc, później te paszporty gdzieś zniknęły, bo były niesamowite naciski ze strony władz już naszych gdzie są te paszporty, ze strony władz rosyjskich, a później naszych. A myśmy się umówili, że nie reagujemy i koniec. Wreszcie wezwanie na milicję takie, że natychmiast się zjawić. To przychodzę, to już było, przyszedłem z pracy, było późno po południu, pukam a tam: *Cholera, przecież napisane, że już dawno godziny minęły*. Ja mówię: *To po co piszecie „natychmiast”?* Otwierają się drzwi: *To pan w sprawie paszportu? Ja nie wiem w jakiej sprawie, to panowie wiecie. No, niech pan pisze co było*. Więc napisałem, że oddałem i co mnie to więcej obchodzi, tak? I wszyscy tak pisali. Te paszporty znikły jakoś i oni bali się widocznie, że (nz) przyjadą do nich. Nie wiem, co się z tym stało.

WK: W kraju nie miał pan trudności z asymilacją, z dostaniem pracy?

JG: Nie. Ja powiem, że ludzie się ustosunkowywali bardzo przychylnie. Ja bym powiedział, że w pierwszym momencie może nawet bardziej przychylnie niż później. Później były jakieś trudności, wie pan, rozmaicie jak to rozwijają się konflikty między ludźmi powiedzmy i są ludzie lepsi i są ludzie gorsi, to później odczuwałem, ale w pierwszym momencie przyjęto mnie

po prostu z otwartymi rękoma. Tak, że się urządziłem i powiedzmy w tej instytucji w Gliwicach i przepracowałem do końca, 25 lat.

WK: Ale w zawodzie, który pan wyuczył w Workucie?

JG: Tak, tak. Z tym, że powiedzmy tą rzecz załatwiłem w ten sposób, że zdałem egzaminy państwowe przez Centralny Urząd Geologii i Akademię Górniczo-Hutniczą, dostałem uprawnienia wykonywania zawodu bez prawa używania tytułu. I powiedzmy na tym jechałem. Studiów zaocznych geologicznych nie było w ogóle w Polsce, bo to są studia, które wymagają dużo ćwiczeń. Rozpocząłem studia górnicze, ale mnie to nie odpowiadało, rzuciłem i tak przezimowałem na tym powiedzmy. I ja panu powiem, że ten zawód jest bardzo ciekawy. To jest bardzo ciekawy zawód, zwłaszcza w tym czasie, jak ja pracowałem w kopalni, jako geolog górniczy. Tam jest taka możliwość obserwacji rozmaitych zjawisk geologicznych, takich rzeczy, których pan nie znajdzie w opisie, w literaturze w ogóle.

WK: A praktyka workucka panu się chyba mocno przydała?

JG: Tak, no z pewnością mocno mi się przydała. Ja później, ja właściwie byłem takim dosyć uniwersalnym w tym sensie, że pracowałem w petrografii węgla początkowo. I na końcu też parę miesięcy po wyjściu za druty, w tym zarządzie geologicznym. Pracowałem w służbie geologicznej górniczej, tej podziemnej.

[6B, 00:20:00]

To była najciekawsza praca, o tyle powiedzmy, że ona, na mnie, miałem obowiązek panowania nad sytuacją, a ich nie obchodziło jak ja to zrobię. To znaczy ja sam sobie dyktowałem tempo kiedy mam zjechać, pojechać do kopalni, kiedy coś przygotować. W każdym razie żeby nie być zaskoczonym jakimkolwiek zjawiskiem niespodziewanym, ja musiałem tylko odpowiednio wcześniej anonsować, że uważajcie, że tam będzie ścienienie pokładu, że po pewnych tam iluś metrach jest prawdopodobne, że pokład zaniknie, że przygotujcie nową ścianę, prawda? Czy coś takiego przykładowo.

WK: Jak pan może podsumować ten pana pobyt z pewnej perspektywy czasowej? I jeszcze pytanie: jak długo jeszcze w nocy pan był w obozie?

JG: Długo.

WK: Ile lat?

JG: Trudno mi to powiedzieć.

WK: Bo ja mam hobby w pytaniu każdego ile lat był jeszcze w obozie w nocy.

JG: Męczyły mnie ciągle sny takie.

WK: No właśnie o tym mówię.

JG: Że cholera, przecież mnie się wyrok dawno skończył, a oni mnie trzymają tutaj, dlaczego oni mnie trzymają tak długo? Ciągłe ten motyw. Ja myślę, że to było co najmniej 10 lat.

WK: To jest średnia, muszę panu powiedzieć.

JG: Co najmniej 10 lat.

WK: Taka na ogół pada odpowiedź pana kolegów czy koleżanek.

JG: Tak, to zostaje w psychice na długo, takie powiedzmy jakieś, ja widziałem ludzi, którzy się zwalniali. Jeszcze to w tamtych warunkach, kiedy były takie możliwości, że o wyrok się kończy, a na dzień przed tym wzywają go do kancelarii i...

WK: I nowy mu wręczają?

JG: Tak, że następne 10 lat. Ci ludzie po prostu szaleli przed tymi, przed końcem wyroku. Agresywni byli, niepoctywalni. To wszystko są obciążenia psychiczne, które rzutują później, ja myślę u takiego człowieka to jeszcze bardziej, który tak przeżywał. Bo ja przynajmniej tego okresu nie przeżywałem. Czekałem, czekałem na koniec wyroku, już sobie odliczałem te dni zacotów. Mniej więcej wiedziałem kiedy, no i czekałem, jakoś stosunkowo spokojnie.

Zwłaszcza, że to był okres już likwidacji obozów, likwidacji imperium Berii, bo oni te obozy zlikwidowali. To znaczy zlikwidowali w takim zasięgu...

WK: Jako zjawisko masowe.

JG: Tak, jako zjawisko masowe w takim zakresie, jaki uważali za słuszny. Nie w ogóle, ale w znacznym zakresie. Tak, że tam jeszcze później, już sytuacja się zmieniała. Dużo było już napływowych, tak zwanych wolnych. No przyjeżdżali przede wszystkim złodzieje z Leningradu, to wiadomo, że tam były ich całe chmary, z nimi były kłopoty.

WK: Ja myślę, że Workuta jest ciekawym obiektem dla badań socjologicznych, w jaki sposób miasto powstało z elementu przymusowo przywiezionego i elementu również kryminalnego, stwarza nowy organizm jakiś miejski.

JG: Sztuczna rzecz, sztuczna rzecz. To powiedzmy z punktu widzenia właściwie ekonomii, z punktu widzenia może uzasadnione jest tylko warunkami strategicznymi, żeby mieć to zagłębie gdzieś.

WK: Ale węgiel już dawno przestał być elementem strategicznym. Ropa.

JG: Tak, no ale dla przemysłu powiedzmy wielkiego, dla hutnictwa to jest węgiel. To bez koksu się nie obędzie, a tam są węgle koksowe też.

WK: Czy z tamtej teczki, czyli elektrociepłowni była linia przesyłowa do Leningradu czy gdzieś tam w głąb Rosji?

JG: Nie, skądże. To były tylko stacje dla obsługi wewnętrznej kombinatu, były dwa tece tam. Między kapitałną a Rudnikiem no i tam przy (nz) drugi.

WK: Tam dalej?

JG: Tak, ale to były tylko i wyłącznie na miejscowe potrzeby.

WK: Tak. No serdecznie panu dziękuję.

JG: Dziękuję.